

Piastowie kontratakują....

W gramatyce określenie „czas przeszły dokonany” stosuje się do opisanego czynności, które co prawda mają wpływ na teraźniejszość, ale już minęły i raczej się nie powtórzą. Jeszcze do niedawna tak samo było z historią. Tymczasem okazało się, że koniec zindustrializowanego i z informatyzowanego do szczytu XX w. przyniósł nową jakość w podejściu do percepcji historii. Najlepiej wyraża się to w angielskim terminie *living history*, co oznacza historię żywą, ale także ponownie „przeżywaną”. Zjawisko to znane jest na świecie jako *re-enactment* lub „żyjąca historia” (ang. *living history*; niem. *lebendige Vergangenheit*). Ciekawy jest anglosaski termin „poznanie afektywne” (*affective knowing*) odnoszący się do emocjonalnego kontaktu widza z historią, z przeżyciem zmysłowym przeszłości, swoistą historyczną empatią.

Pojawiły się grupy osób, które skupiły się na odtwarzaniu realiów historycznych wybranej epoki (np. średniowiecze, starożytna Grecja i Rzym, II wojna światowa itp.), z zachowaniem maksymalnej wierności co do ubrań, broni, przedmiotów życia codziennego, konkretnych wydarzeń historycznych.

Zasadniczo najbardziej spektakularną i najczęściej spotykaną działalnością w ramach *re-enactment* są militaria, a więc odtwarzanie bitew (różnych epok), uzbrojenia itp. Niemniej, jest to tylko jedna ze sfer. Grupy rekonstrukcji historycznej zajmują się również prezentacją historycznych realiów życia codziennego, rzemiosła, sztuki, rolnictwa, teatru, żegluga itd. To, co dzisiaj jest wiązane potocznie z „rozrywkową” wersją historii, ma swoje źródło w naukowym, nietypowym podejściu do metodologii historii.

Filozoficzne podstawy działalności rekonstrukcyjnej podał Robert George Collingwood (1889-1943), brytyjski filozof. Collingwood był filozofem a zarazem archeologiem hobbystą, brał udział w badaniach pozostałości rzymskich w Anglii, jest autorem paru fundamentalnych rozpraw o okresie rzymskim w historii Anglii. Jedną z jego bardziej kontrowersyjnych tez było przeświadczenie,

że przez rekonstrukcję udaje się odtworzyć identyczny sposób myślenia, jaki miał historyczny podmiot (agent). Postulował „historię jako wspomnienie minionego doświadczenia” (*history as the recollection of past experience*). Zdaniem Collingwooda, myśl jest jedna, tylko podzielona na wiele podmiotów i to niekoniecznie żyjących równocześnie. Stąd już tylko krok do idei przyświecającej archeologii eksperymentalnej, że możliwe jest prześledzenie toku rozumowania osób żyjących wieki temu za pomocą dzisiejszego rozumu. Bardzo wyraźne są też wątki fenomenologii, zwłaszcza zawarte w przekonaniu, że rekonstrukcja pozwala pozbyć się bagażu apriorycznych założeń, teorii, domysłów, a tym samym robi miejsce dla wniosku na podstawie praktycznego działania i jego skutków.

Rekonstrukcja historyczna ma bogatą historię. W czasach starożytnego Rzymu w Koloseum odtwarzano dla zebranej gawiedzi co słynniejsze bitwy armii rzymskiej¹. Pełniło to częściowo rolę ówczesnego środka przekazu (aby Rzymianie mogli zobaczyć na własne oczy wydarzenia, które działy się gdzieś na krańcach imperium), a częściowo propagandową, umacniającą wizję niezwyciężonego imperium i jego armii. Niektórzy funkcję *re-enactment* przypisują średniowiecznym turniejom, ale raczej dotyczyły one realiów współczesnych i były pozbawione refleksji historycznej. Rozkwit ruchu rekonstrukcji przyniósł wiek XVII. Wtedy w Anglii odtwarzano bitwy, a także sceny rodzajowe z okresu średniowiecza i antyku.

Wiemy poniekąd, że także polscy magnaci i szlachta lubowali się dla kaprysu w odtwarzaniu małych bitew z czasów mniej lub bardziej odległych. Zdarzało się, że specjalnie na tę okazję stawiano drewniane pseudo-zamki, oblegane potem przez „armie”. Bitwy te organizowano ku utraپieniu służby i czeladzi, gdyż to im powierzano mało pociągającą rolę szarej piechoty ostrzeliwanej z muszkietów (zdarzały się ciężkie rany)². Także w czasie zaborów niewielkie grupy, w małych kręgach, od-

twarzały sceny z historii Polski dla pokrzepienia serc, dla przypomnienia dawnej wielkości Polski³.

Natomiast jest zasadnicza różnica między tymi rekonstrukcjami, a działalnością nam współczesną. Dawniej takie rekonstrukcje służyły głównie zabawie, miały dużo wspólnego z teatrem. Dzisiejszy ruch rekonstrukcyjny, o ile sam nie służy nauce, to posiłkuje się naukowymi źródłami, przykłada się szczególną wagę do wierności oryginałom itd.

W Polsce, podobnie jak w Europie, ruch ten swoje źródło wzięty od rekonstrukcji historycznych w ramach tzw. archeologii eksperymentalnej (zwanej też poznawczą albo doświadczalną). Głównym założeniem takiej archeologii jest rekonstruowanie dawnych przedmiotów i/lub ich funkcji, a także pośrednio sposobu myślenia i motywacji dawnych twórców.

Obiektem rekonstrukcji mogą być przedmioty takie jak naczynia, broń, instrumenty muzyczne, ale także większe konstrukcje (np. budynki, instalacje plenerowe), procesy technologiczne i same technologie itp. Zakłada się, że człowiek, mając do dyspozycji określone technologie i surowce, ma taki sam lub zbliżony tok myślenia do człowieka sprzed wieków i dojdzie do podobnych rozwiązań. Tym samym archeologia eksperymentalna w znacznej mierze wspomaga weryfikację wiedzy na temat znalezisk.

John Coles zbudował typologię działań przydatną przy archeologii eksperymentalnej⁴:

1. Do wykonania rekonstrukcji powinny być użyte wyłącznie materiały-surowce, jakie były dostępne danym społecznościom w przeszłości.
2. Odpowiednie przygotowanie (trening) i wykorzystywanie metod stosowanych w pradziejach.
3. Niestosowanie współczesnych metod i technologii wpływających na wynik eksperymentu.
4. Postawienie sobie pytań przed przystąpieniem do eksperymentu.
5. Powtarzalność eksperymentu.
6. Alternatywne metody eksperymentowania.
7. Rezultaty eksperymentu, obserwacje i wnioski
8. Krytyczne podejście do eksperymentu.

Znanym polskim ośrodkiem archeologii eksperymentalnej jest od lat skansen w Biskupinie. Prowadzi się tam hodowlę zwierząt (m.in koniki polskie, owce wrzosówki), eksperymentalne uprawy pszenicy, lnu, bobu, prosa i soczewicy. Co roku od-

bywa się na terenie muzeum festiwal archeologiczny, który gromadzi wiele grup rekonstrukcji historycznej z całej Polski i z zagranicy, a także muzyków zajmujących się rekonstrukcją muzyki dawnej, rzemieślników itp.

W tym artykule postanowiłem się przyjrzeć specyficznemu wycinkowi ruchu rekonstrukcji, mianowicie grupom zajmującym się wczesnym średniowieczem. Fascynacja tym okresem z historii Polski wiąże się siłą rzeczy z obcowaniem z Polską Piastów, z Polską, która jeszcze nie traci ziem nad Odrą, Wartą, Notecią, a nawet Szprewą.

Ze względu na epokę historyczną, grupy rekonstrukcyjne tego okresu za przedmiot swojej refleksji historycznej często obierają ziemie zachodnie Polski z okresu Piastów i tworzenie się państwa polskiego, np. drużyna „Trygław” ze Szczecina specjalizuje się w odtwarzaniu realiów wczesnośredniowiecznego Pomorza Zachodniego. Przedstawiciele innej grupy z Pomorza regularnie biorą udział w uroczystościach rocznicowych zaślubin z morzem w Kołobrzegu.

Przez lata grupy rekonstrukcji wczesnego średniowiecza z całej Polski brały udział w odtwarzaniu bitwy pod Cedynią (972). Samej rekonstrukcji towarzyszył co prawda typowy festyn gminny, niemniej jedna z grup z Pomorza rozdała przybyłym broszurki o polskości i słowiańskości zachodnich ziem Polski.

Co ciekawe, po niemieckiej stronie istnieją grupy zajmujące się wczesnym średniowieczem, które wprost przyznają się do pielęgnacji słowiańskiego dziedzictwa tych ziem. Za przykład mogą posłużyć Milczanie („Die Milzener”) z Górnych Łużyc oraz Wkrzanie („Ukranenland”) z Torgelow (Meklemburgia-Pomorze Przednie). Nazwy tych grup są symptomatyczne – obie nawiązują do nazw własnych plemion Słowian Połabskich żyjących przed wiekami na terenie dzisiejszych Niemiec⁵. Milczanie wprost piszą na swojej stronie internetowej: „Jedną z podstaw wspólnoty europejskiej jest pielęgnowanie różnorodności narodowej i kulturowej i wyciąganie ręki do dialogu u wymiany [tak w tekście – M.T]. To jest podstawą współpracy obu grup – łącznie z wymianą doświadczeń, odkrywaniem i umacnianiem własnych korzeni i własnej świadomości narodowej. Po drugie idealną, wspólną bazą do zrozumienia między narodami jest historyczny obszar

zachodniej słowiańszczyzny, na który to obszar na prawo od Łaby silny wpływ zaczęły mieć w XI wieku plemiona niemieckie. Do dziś ten obszar jest etniczną mieszanką Słowian i Germanów, na co dowodem jest istniejący do dziś naród Serbołużyczan". Z kolei działalność skansenu Ukranenland z Torgelow nie wszystkim się podoba w Niemczech, grupa napotykała na problemy, zwłaszcza ze strony radykalnej lewicy.

Impreza re-enactment nie ogranicza się tylko do samej rekonstrukcji jedynie bitwy, nawet jeśli tej bitwie jest poświęcona. Zazwyczaj już dzień-dwa wcześniej zjeżdżają się drużyny, powstaje obozowisko w średniowiecznym stylu, tzn. z namiotami, kuchnią, czasem przystanią z łodziami (Wolin), stajnią, kramami rzemieślników, warsztatem kowala itp. Charakterystyczne, że rekonstrukcja nie ogranicza się do czasu zwiedzania imprezy przez turystów. Po zamknięciu obozowiska dla widzów, np. wieczorem, obóz żyje dalej średniowiecznym życiem. Głównym odbiorcą imprez są turyści, miłośnicy historii, wycieczki szkolne itp.

Można pokusić się o rozróżnienie miejsc, gdzie odbywają się spotkania grup rekonstrukcyjnych. Nie są to kategorie rozłączne, ponieważ zdarza się, że np. historyczne miejsce jest inspiracją dla lokalnych władz do zorganizowania w nawiązaniu do historii komercyjnego festynu: 1) rzeczywiste miejsca dawnych bitew, potyczek (np. Cedynia, Wolin) 2) rekonstrukcje na zamówienie (festyny, imprezy gminne, firmowe, statystowanie w filmach itp.) 3) miejsca o historycznych korzeniach, ze swoistym genius loci, np. grodziska albo miejsca podobne (Biskupin, Kruszwica, Będowice pod Ślężą, Grzybowo itd.). Należy dodać, że niektóre grupy rekonstrukcji są związane z konkretnymi grodziskami, tj. opiekują się nimi, są gospodarzami imprez odbywających się w tych miejscach itp. (m.in. grodziska w Sopocie, Grzybowie).

Grupy wczesnego średniowiecza poprzez swoją działalność przypominają zapomniane wątki z historii Polski, ze szczególnym uwzględnieniem ziem zachodnich. Tak jest z bitwą w Wolinie, gdzie prezentowane są mało znane szerszej publiczności wątki kontaktów państwa Mieszka I z wikingami, walk Pomorzan z Duńczykami. Podczas rekonstrukcji bitwy pod Cedynią w niezwykle spektakularny sposób, (a więc przemawiający do wyobraźni

zebranej publiczności) zaprezentowano obronę zachodnich rubieży młodego państwa polskiego przez Mieszka I i jego brata Czcibora. Przy okazji pokazało to okolicznym mieszkańcom i przybyłym turystom, że ponad tysiąc lat temu w tym miejscu przebiegała zachodnia granica państwa Mieszka I, a dzisiejsze senne miasteczko Cedynia pełniło niegdyś ważną rolę w systemie ochrony tejże granicy. Nie tylko ma to nieoceniony walor edukacyjny (nauka historii w bardzo przystępnej i atrakcyjnej formie), ale i wiąże lokalną społeczność z regionem i małą ojczyzną, prezentuje ludziom wydarzenia z dziejów ich najbliższej okolicy często im nieznanne, bo np. nie ujęte w programie szkolnym.

Szczecińska drużyna „Tryglaw” zrekonstruowała wydarzenie praktycznie znane tylko historykom, a mianowicie atak Pomorzan na norweską Konungahalę z 1136 roku⁶. Atak na Konungahalę jest w polskim nauczaniu historii zupełnie pomijany, mimo że zwraca na siebie uwagę zachodnich historyków dużą skalą logistyczną operacji jak na warunki wczesnego średniowiecza (flota z armią Racibora przepłynęła morze wraz z końmi na pokładach, a po rajdzie zakończonym sukcesem powróciła na Pomorze). Te wydarzenia należą do historycznego dziedzictwa ziem zachodnich, często już zapomnianego. Prowadząc działalność edukacyjną (na pokazach często są obecne zorganizowane grupy, np. wycieczki szkolne, ale też są specjalne pokazy dla szkół, wystawy czasowe, publikacje), wspomniane grupy stanowią ważne ogniwo w kształtowaniu pamięci o historii regionów, dotąd po prostu zbywanej, przesłanianej „poniemiecką” historią. Niektóre grupy wykraczają poza klasycznie rozumianą rekonstrukcję historyczną, prezentując alternatywny lub domniemany przebieg zjawisk historycznych, jest to jednak zawsze w wyraźny sposób oddzielane od czystej rekonstrukcji, tak aby nie wprowadzić odbiorców w błąd.

Na potrzeby tego atykułu postanowiłem się przyjrzeć osobom uczestniczącym w tych drużynach⁷. Przeprowadzone ad hoc badania ankietowe objęły w sumie 23 osoby, a więc grupę niewielką. Jednak są to członkowie grup znanych, o określonej reputacji, co pozwala sądzić, że wyniki badań opinii ich członków są w pewnym stopniu typowe dla członków podobnych drużyn⁸.



Przed bitwą. Wolin 2005 r. Fot. ze zbiorów drużyny Nordelag

Ze względu na niewielki rozmiar badań poniższe wyniki należy traktować jako wstępne rozpoznanie i ewentualny materiał wyjściowy do głębszego studium. Szczególnie intrygująca była kwestia motywacji – jak to się dzieje, że pewne osoby interesują się szczególnie tym okresem historycznym, i to do tego stopnia, że są skłonne ponosić stosunkowo duże koszty (uczestnictwo w grupach rzadko przynosi profity, natomiast są to ogromne koszty strojów, namiotów, broni, transportu obozowiska itp). Dlatego zapytano w pytaniach otwartych m.in o inspirację wydarzeniem, książką z młodości, fascynację postacią z historii Polski.

Chciałem wskazać jakieś prawidłowości, ważne wydarzenia w biografii związane z rozwijaniem tej pasji, motywów etc., które pozwoliłyby chociaż częściowo odpowiedzieć na pytanie „kim są ludzie zajmujący się wczesnym średniowieczem”?

Wskazania postaci z historii Polski, które zrobiły na respondentach szczególnie wrażenie, w zasadzie nie zostawiają miejsca na wątpliwości. W ogromnej większości wskazywano Bolesława Chrobrego (10 razy) i Mieszka I (6). Oprócz obu władców i Świętosławy⁹ (2 razy), pojedynczo wskazywano także na innych Piastów (Bolesław Krzywousty, Bolesław Śmiały, Czcibor). Poza Piastami pojawił się Jan III

Sobieski, Jeremi Wiśniowiecki, Władysław Jagiełło, Józef Piłsudski, bohaterowie z Westerplatte i z Dywizjonu 303. Pomijając duży rozrzut chronologiczny, niewątpliwie można przypisać wszystkim wymienionym cechy wspólne – są to wielkie osobowości zasłużone dla Polski, szczytujące się sukcesami militarnymi, patrioci, osoby o ciekawym życiu.

Jeśli chodzi o książki wskazywane przez respondentów, to rozrzut odpowiedzi był większy niż w przypadku odpowiedzi na pozostałe pytania, ale



„Wtedy to szcęk mieczy uderzających o helmy rozbrzmiewał” (Gall Anonim), Wolin 2005 r. Fot. ze zbiorów drużyny Nordelag



Krajobraz po bitwie. Wolin 2005 r. Fot. ze zbiorów drużyny Nordelag

jednak dało się zauważyć dominujące nurty. Była to literatura ukierunkowana na historię wczesnego średniowiecza (pozycje o wikingach, dawnej Słowiańszczyźnie – zarówno naukowe, popularno-naukowe, jak i literatura rozrywkowa, baśnie itp.) albo literatura fantastyczna (książki J. R. R. Tolkiena). Pozornie są to nurty rozbieżne, jednak należy pamiętać, iż Tolkien w swoich książkach zawarł mnóstwo motywów i nawiązań do mitów i historii wczesnośredniowiecznej Europy. Pozostałe wskazania padły na książki przygodowe dla dzieci i młodzieży.

Motywacja co do wyboru epoki w zasadzie też nie pozostawia wątpliwości. Zdecydowana większość respondentów, w pytaniu otwartym, wskazała na wczesne średniowiecze jako okres stosunkowo czystej polskiej kultury, bez obcych naleciałości (w tym chrześcijaństwa), okres kluczowy dla polskiej państwowości, epoka o specyficznej kulturze duchowej i materialnej.

Odpowiedzi na to pytanie nawiązywały do odpowiedzi na pytanie o postać z historii Polski (przewaga Bolesława Chrobrego i Mieszka I). Dla respon-

dentów ważnym czynnikiem warunkującym wybór tej epoki był fakt, że był to czas odnoszenia sukcesów przez władców Polski i czas autentycznej niezależności młodego państwa, przede wszystkim w warstwie kultury duchowej (kultura przedchrześcijańska, a więc rodzima i jeszcze w tym okresie autonomiczna względem myśli judeochrześcijańskiej). Dla niektórych ankietowanych był atrakcyjny także ówczesny system wartości. Dwie respondenci wspomniały o okresie wczesnego średniowiecza jako atrakcyjnym ze względu na podmiotowość kobiety, dużo mniejszą w wiekach późniejszych.

Ze względu na tak głęboką motywację zainteresowania się wspomnianą epoką, interesujące było, jak respondenci traktują swoją działalność, jakie są ich relacje z grupą. Zapytano respondentów o to, czym dla nich jest udział w grupie. Pytanie miało charakter półotwarty, z kafeterii można było wybrać zabawę, hobby, misję, styl życia, edukację oraz dopisać własną propozycję (dopuszczono wielokrotny wybór, więc odpowiedzi nie sumują się do 23).

Dla 18 ankietowanych jest to hobby, a dla 13 – styl życia¹⁰. Często te dwie odpowiedzi występowały

razem (9 respondentów zaznaczyło te odpowiedzi łącznie). Dla 6 osób to zabawa, a dla 3 – edukacja innych. Żaden respondent nie wybrał odpowiedzi „misja“.

Określenie „styl życia“ dobrze opisuje aktywność ankietowanych. W rekonstrukcjach biorą udział rodziny, uczestnicy grup często w swoim gronie zawierają związki małżeńskie, z czasem pojawiają się dzieci starszych uczestników. Warto poświęcić uwagę sprawie ślubów. Związki małżeńskie są zawierane w manierze starostwoiańskiej swadźby, tzn. w strojach z epoki, w obecności kapłana (żercy). Zdaniem niektórych uczestników ruchu re-enactment, dopiero po takim ślubie uznają oni fakt istnienia związku małżeńskiego mimo wcześniejszego ślubu w urzędzie¹¹.

W związku z tym respondentów zapytano o częstotliwość ich kontaktów z drużyną, do której należą. Pytano o kontakty nie związane wprost z działalnością drużyny i z niej nie wynikające, ale o czas prywatny.

ODPOWIEDŹ	LICZBA WYBORÓW
Bardzo często	13
Często	7
Rzadko	3
Prawie wcale	0

Odpowiedzi wskazują na silny związek ze swoją drużyną (20 osób utrzymuje częste lub bardzo częste kontakty „poza profesjonalne“ z tą grupą osób). Do dalszych badań pozostaje kwestia, na ile drużyna jest grupą odniesienia normatywnego dla swoich członków. Wiele wskazuje, że jest to wysoce prawdopodobne. Z jednej strony, z ankiety wynika że członkowie badanych grup mają dosyć spójne poglądy i postrzeganie świata. Drużyna w pełni spełnia konstytutywne kryteria grupy społecznej, a mianowicie: 1. zbiór osób, od 2-3 osób wzwyż, 2. wartości wewnętrzzgrupowe, 3. więź społeczna, 4. wewnętrzna organizacja

Liczebność drużyn zdecydowanie przekracza minimalną liczbę dopuszczaną przez teorię grup. Drużyna wczesnośredniowieczna ma oczywiście swoje wartości, istnieje więź między członkami, drużyna ma swoje symbole, wokół których grupują się członkowie (np. stanica pełni funkcję chorągwi,

charakterystyczna nazwa, barwy i symbole malowane na tarczach itd.).

Drużyny mają także swoją wewnętrzną organizację, często dojrzałą i stosunkowo mocno sformalizowaną. Za przykład warto przytoczyć zbiór reguł obowiązujący w jednej z badanych drużyn, trójmiejskim Nordelag. W wewnętrznym, przyjętym przez członków drużyny regulaminie o nazwie „Prawda drużynna“ można przeczytać o strukturze grupy:

„Drużyna dzieli się na Drużynę Starszą i Drużynę Młodszą.

Drużynę Starszą tworzą założyciele Drużyny oraz Drużynnicy o których przyjęciu zdecydował wiec starszych drużynników jednogłośnie.

Na znak przynależności do DS. każdy starszy drużynnik otrzymuje pierścień.

Starsi Drużynnicy mają prawo głosu na Wiecu Starszym, mają prawo do noszenia napisu na tarczy oraz własnego symbolu na niej.

Młodszą Drużynę tworzą wojownicy uznani przez Starszy Wiec większością głosów. Po zaprzysiężeniu zyskują oni prawo głosu na Wiecu Ogólnym, prawo do noszenia barw drużynnych oraz do reprezentowania drużyny gdziekolwiek się znajdują.“

Organem naczelnym w drużynie jest Wojewoda, który jednak wbrew potocznym skojarzeniom z średniowieczem nie jest władką absolutnym i podlega odwołaniu przez Wiec. Oprócz struktury regulamin wyjaśnia także kwestie awansu i degradacji członków, obowiązki i prawa drużynników, strukturę terenową drużyny (pododdziały) itp. Wewnętrzny zbiór praw pełni dla drużyny bardzo ważną rolę, petyfikuje jej strukturę, zabezpiecza trwanie drużyny i uniezależnia je od ewentualnych „humorów“ członków. Dodatkowo przyjęcie takiego regulaminu jasno pokazuje, że drużyna przeszła od stadium luźnej grupki przyjaciół ze wspólnym hobby do tworzenia bardziej sformalizowanego. Jest to oczywiście konieczne w sytuacji rozwoju grupy, tj. przyjmowania kolejnych członków (już nie tylko wypróbowanych przyjaciół i kolegów, których znało się od lat) i tworzenia zamiejscowych pododdziałów, czyli w sytuacji kiedy członkostwo w drużynie nie musi się wiązać z osobistym kontaktem wszystkich członków. Przesuwa się zatem bardziej w kierunku społecznej grupy formalnej. Oczywiście jest, że drużyna ma swoje kryteria naboru nowych członków i swoisty rytuał przejścia.

Nordelag ceremonię przyjęcia członków przeprowadza w specjalnie zaaranżowanym miejscu (np. grodzisko, leśna polana). Nowo przyjęty składa przysięgę i dostaje pierścień drużynny.

Struktura wiekowa badanej grupy wygląda następująco:

WIEK	LICZBA WYBORÓW
18	2
19	1
21	2
22	2
24	7
25	3
26	1
27	1
28	2
29	1
32	1

Struktura wykształcenia:

WYKSZTAŁCENIE	LICZBA WYBORÓW
Podstawowe	2
Średnie	10
Licencjat	2
Policealne	3
Wyższe	6

Miejsce zamieszkania:

Wieś	1
Małe miasto (do 100 tys. mieszkańców)	4
Średnie miasto (pow. 100 tys. do 400 tys.)	9
Duże miasto (pow. 400 tys. mieszkańców)	9

Generalnie, są to ludzie młodzi; wykształcenie średnie i struktura wieku pozwalają przypuszczać, że w badanej grupie przeważają studenci lub osoby właśnie kończące studia. Naturalnym miejscem pochodzenia takich grup są średnie i duże miasta, chociażby ze względu na obecność środowisk akademickich. Nie jest to jednak regułą, zdarzają się grupy z mniejszych ośrodków, np. Sanok, Bytów itd.

Za pomocą prostej skali porządkowej zapytano respondentów o natężenie patriotyzmu. Przyjęta

pięciostopniowa skala odpowiedzi: od 1 („wcale nie czuję się patriotą”) do 5 („zdecydowanie jestem patriotą”). Uzyskano następujący rozkład odpowiedzi:

STOPIEŃ NA SKALI	LICZBA WYBORÓW
1	1
2	1
3	7
4	6
5	8

Zdecydowana większość badanych wybrała odpowiedzi wskazujące na najwyższe natężenie patriotyzmu. Taki rozkład nie dziwi, jeśli odniesie się te odpowiedzi do tych na pytanie o motywację oraz ważną dla respondentów postać z historii Polski. W połączeniu z odpowiedziami na pytania otwarte wyraźnie zaznaczył się następujący profil postawy: silne poczucie patriotyzmu; lojalizm państwowy; duma z niezawisłej Polski; niechęć do przyjmowania obcych wzorców kulturowych. Towarzyszy temu, co oczywiste w kontekście zajmowania się żywą historią, refleksja nad przeszłością Polski i Europy.

Reasumując, grupy rekonstrukcji historycznej stanowią niewielkie liczebnie, za to niezwykle prężne ogniwo w łańcuchu edukacji społecznej. Oprócz wsparcia dla nauki (archeologia, historia), w widowiskowy i tym samym atrakcyjny dla szerszej publiczności sposób prowadzą narrację historyczną. Poprzez skupienie się na wydarzeniach ze specyficznej epoki z dziejów Polski (wczesne średniowiecze, słabo udokumentowane) zapelniają pewną lukę w edukacji. Robią to podwójnie, ponieważ ze względu na wspomniane już wcześniej odwołanie się do realiów Polski Piastów terytorialnie siłą rzeczy zajmują się zachodnią Polską. W ten sposób ukazują społecznościom zamierzchnie dzieje ich małej ojczyzny i pokazują, że wielkie wydarzenia z historii Polski działy się nie tylko na Mazowszu, w Małopolsce i innych miejscach znanych powszechnie z podręczników.

¹ Historia rekonstrukcji za: H. Giles, A Brief History of Reenactment, www.eventplan.co.uk/history_of_reenactment.htm

² Za przykład może służyć „wojna słowacińska”, odtworzona w Słowacinku, majątku znanego z okrucieństwa Hieronima Radziwiłła;

³ 13 lutego 1828 r. podczas imienin J.U. Niemcewicza odtworzono realia dworu Zygmunta Augusta. W pewnym

momencie spotkania zebranych udzieliło się wzruszenie, jak to opisał świadek wydarzeń, Leon Potocki: „Wtem mnóstwo zaproszonych gości zaczęło się zjeżdżać, napełniły się pokoje, bo choć każdy czytał zygmuntofskie dzieje, komuż nie było znaleźć się w tym śnie na jawie, na polskim dworze, przypatrzeć się pięknej Barbarze, spojrzeć na królewską Bonę, znaleźć się pośród Kochanowskich, Rejów, Janickich, przenieść się w owe czasy, które czy nam powrócą – zapytajmy Boga”, relacja L. Potockiego za: M. Grydzewski, *Silva rerum*, Gorzów Wlkp 1994, s. 103

⁴ M. Poznański, *Archeologia doświadczalna*, <http://www.pozni.pl/pl.php?id=4>

⁵ Milczanie są przodkami dzisiejszych Serbołużyczan z Górnych Łużyc.

⁶ W 1136 r. pomorski książę Racibor wraz z kilkutysięczną armią, także konnymi, przepłynął się do Norwegii, pokonał tamtejsze siły obrony i złupił Konunghallę (dziś Kungälv, nieopodal szwedzkiego Goeteborga), por:

I. Górewicz, *Rajd Pomorców na Norwegię Konunghalla 1136 r.*, „Wędrowiec Zachodniopomorski” 15/2005

⁷ Należą się podziękowania następującym drużynom za pomoc w szybkiej realizacji badań: Walhalla z Poznania (www.walhalla.com.pl) oraz Drużyna Słowian i Wikingów Nordelag z Trójmiasta (www.nordelag.pl)

⁸ Ze względów technicznych (wyjazd grupy za granicę na pokazy) niestety nie udało się przeprowadzić badań z członkami jednej z bardziej rozpoznawanych drużyn w środowisku, szczecińskim „Tryglawem”. Niemniej zapoznałem się z działalnością drużyny poprzez analizę dostarczonych materiałów wtórnych (opis działalności, wydawnictwa, relacje współpracowników itp).

⁹ Chodzi o Świętosławę, siostrę Bolesława Chrobrego, królową Danii i Szwecji (zwana w Skandynawii Sygrydą, Storrada lub Gunhildą),

¹⁰ Ze względu na niewielką liczbę respondentów, wyniki będą podawane jednostkowo, nie w procentach.

¹¹ Źródło: wypowiedzi na jednej z uroczystości, maj 2006.

DARIUSZ A. RYMAR

Koniec „niesłusznego zabytku” w Gorzowie

W końcu lat sześćdziesiątych minionego wieku, w czasie przebudowy śródmieścia Gorzowa, rozebrano zabytkowy arsenał, znajdujący się w centrum miasta przy ul. Chrobrego. Pomimo upływu wielu lat, decyzja o rozbiórce jest nadal omawiana, a dyskusji tej towarzyszy nostalgia. W aktach Prezydium Miejskiej Rady Narodowej w Gorzowie natrafiłem na interesującą dokumentację związaną z tym zdarzeniem.¹ Choć nie jest ona kompletna, to rzuca światło na mechanizm podejmowania decyzji w tej sprawie.

Gorzowski arsenał jest dość tajemniczym obiektem. Skąpo zachowana dokumentacja nie pozwala na dokładne odtworzenie jego losów. Nie znamy daty jego budowy. Wiadomo tylko, iż został wzniesiony w końcu XVIII lub na początku XIX w.; autorstwo projektu przypisuje się znanemu architektowi pruskiemu Davidowi Gilly. Budynek zbrojowni pojawia się po raz pierwszy w literaturze przy opisie zdarzeń z roku 1848, zaś na mapie miasta z roku 1855 po raz pierwszy pod nazwą „Zeughaus”. Trzykondygnacyjny budynek miał 2759 m² powierzchni użytkowej.

Landsberska zbrojownia była jednym z nielicznych budynków w śródmieściu, który przetrwał za-

jęcie miasta przez wojska radzieckie 30 stycznia 1945 r. i dni następne, gdy miasto znajdowało się pod radziecką okupacją. Kiedy Gorzów zaczęła przejmować polska administracja cywilna (28 marca 1945 r.), w śródmieściu poza katedrą i właśnie arsenałem stało niewiele całych budynków. Reszta była wypalona i częściowo zburzona na skutek licznych pożarów wzniesionych przez żołnierzy radzieckich.

Już w 1945 r. przystąpiono do odgruzowywania i odbudowy śródmieścia. Niewielkie były jednak możliwości działania ówczesnych władz Gorzowa, brak było ciężkiego sprzętu i pieniędzy. Prace przebiegały więc bardzo wolno.

Dopiero w 1957 r. podjęto na szerszą skalę prace związane z odgruzowywaniem śródmieścia. W roku następnym odbudowa miasta została bardziej zdynamizowana, gdyż w fazę finalną wchodziło opracowanie planu odbudowy śródmieścia. 12 lutego 1958 r. odbyła się pierwsza sesja nowo wybranej Miejskiej Rady Narodowej (MRN); nowo wybrany przewodniczący Prezydium MRN, Zenon Bauer zarysował program działania na najbliższe lata. Wśród priorytetów znalazła się m.in. odbudowa śródmieścia i rozwój budownictwa mieszkaniowego.

W tym czasie trwały prace nad planami odbudowy śródmieścia. Przygotowano dwa projekty – jeden w Warszawie, drugi w Poznaniu. Według Zenona Bauera, wariant poznański przewidywał budowę estetycznych kamienic i utrzymanie klimatu starego miasta. Zgrabne kamienice miały mieć spadziste dachy. Do realizacji zakwalifikowano jednak projekt warszawskiego Biura Projektów Typowych, którego autorami byli Hanna Krak-Gierałowska, Włodzimierz Gierałowski, Marian Wiączek i Stefan Wróblewski. Projekt warszawski uzyskał nagrodę państwową III stopnia, co z dzisiejszej perspektywy musi budzić zdziwienie, albowiem przewidziano w nim postawienie obok gotyckiej katedry kilkunastu monottonnych bloków. Co gorsza, zagubiono przy tym historyczny kształt starego rynku. Być może w końcu lat pięćdziesiątych był to jedyny możliwy do sfinansowania plan szybkiej zabudowy świecącego pustkami śródmieścia. Jeszcze u schyłku 1958 r. przystąpiono do prac związanych z realizacją tego planu, pełną parą ruszyły one w marcu roku następnego. Pierwsze budynki w okolicach katedry oddano do użytku w 1960 r.; w latach następnych, aż do 1965 r. to właśnie w śródmieściu koncentrowało się budownictwo mieszkaniowe.

W pierwszych latach powojennych niezniszczony budynek arsenału szybko został zagospodarowany. Charakterystyczny, czterokątny budynek, z dziedzińcem w środku i spadzistym dachem był jednym z nielicznych ocalałych obiektów w śródmieściu. Na parterze usytuowano Wiejski Dom Towarowy, zwany powszechnie „Rolnikiem”, punkt skupu wełny, punkt napełniania syfonów, a na piętrze magazyny zbożowe. Już w roku 1947 władze zorientowały się, iż jest to obiekt zabytkowy; został on wpisany do rejestru zabytków (do drugiej klasy). W planie zagospodarowania przestrzennego z 1951 r. przewidywano, iż docelowo zostanie w nim zlokalizowane muzeum. Z nieznanых powodów tego planu nie zrealizowano.

Obydwa projekty odbudowy śródmieścia – warszawski, i tym bardziej poznański – przewidywały wkomponowanie arsenału w nową zabudowę. Co więcej, planowano jego kapitalny remont. W „Gazecie Gorzowskiej” z 3 września 1959 r. czytamy: „Arsenał w kompleksie budującego się śródmieścia będzie miał centralne położenie, w związku z czym doprowadzenie go do świetności stanowić będzie

specjalną troskę ojców miasta. Los arsenału został już rozstrzygnięty: po opuszczeniu go przez handlowców przeprowadzi się tu odpowiednie prace remontowo-konserwatorskie i adaptacyjne. W odnowionym gmachu znajdą pomieszczenie związku twórcze, sekcje artystyczne, klub inteligencji, towarzystwa kulturalne, pracownie artystyczne, sale wystawowe itp.”² Jeszcze na planie zagospodarowania przestrzennego z 1960 r. budynek arsenału zaznaczono jako fragment docelowej zabudowy śródmieścia. Jednak już rok później pojawiły się plany jego rozbiórki. 19 maja 1961 r. „Gazeta Gorzowska” zamieściła zdjęcie arsenału, informując o dyskusji pomiędzy zwolennikami i przeciwnikami jego pozostawienia. W listopadzie 1962 r. dziennikarz „Gazety Gorzowskiej” napisał: „Trudno zaprzeczyć, że tzw. arsenał szpeci śródmieście. Jest to stara rudera, którą nazywa się czasem budowlą zabytkową, ale nikt nie potrafi dokładnie wyjaśnić na czym ta wartość zabytkowa polega. Przeciwnie łatwo się dowiedzieć, że jest to jedna z budowli, jakie zostawił pruski militarizm. *Sądzymy, że na miejscu wątpliwej wartości rudery mógłby stanąć dom towarowy PSS, którego budowę przewiduje się przy ul. Sikorskiego. Można wysunąć zarzut, że rozebranie arsenału jest w tej chwili niemożliwe, bo PZWS nie ma dokąd przenieść pomieszczeń Rolniczego Domu Towarowego. Na taki zarzut można chyba odpowiedzieć, że PZGS jest powołany do handlowania na wsł*” [podkreślenie w oryginale].³ A zatem plany rozbiórki arsenału pojawiły się na początku lat sześćdziesiątych i to pomimo wpisania go wcześniej do rejestru zabytków.

Bezpośrednim powodem, dla którego zamierzano rozebrać arsenał było poszerzenie ulicy Chrobrego. Budynek wcinął się nieco w projektowaną, dwupasmową jezdnię. Wcześniej nie rzucało się to w oczy, bo naprzeciw arsenału, po drugiej stronie ulicy Chrobrego stał inny budynek. Ten jednak rozebrano w 1960 r. i odtąd tylko arsenał zawadzał w poszerzeniu ulicy, umieszczonym w planie zagospodarowania przestrzennego. Jak wynika z zachowanego egzemplarza tego planu, po 1970 r. przewidziano rozbiórkę arsenału oraz budowę w jego pobliżu wieżowca przeznaczonego na biura. Plan był dziełem kilkunastoosobowego zespołu architektów. W 1965 r. zdobył nagrodę III stopnia Ministra Budownictwa i Przemysłu Materiałów Budowlanych, a wcześniej 12 września 1964 r. został zatwier-

dzony przez Miejską Radę Narodową. Był to początek końca zabytkowej budowli.

Plan uchwalony przez MRN, zgodnie z procedurą został następnie przesłany do zatwierdzenia przez Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Zielonej Górze (PWRN). Tam został przyjęty uchwałą PWRN z 26 kwietnia 1965 r. Wcześniej, bo jeszcze w styczniu 1965 r., przystawił na nim swoją pieczęć Wojewódzki Konserwator Zabytków w Zielonej Górze. To, wydawałoby się trudne do uzyskania uzgodnienie z urzędem konserwatorskim, stało się kluczowym momentem w kilkuletniej procedurze wyburzenia arsenału. Jak wynika z późniejszych dokumentów, konserwator swoją zgodę na realizację planu wydał pochopnie, gdyż w wielostronicowym dokumencie najprawdopodobniej przeczytał zaledwie jedno krótkie zdanie dotyczące wyburzenia zabytkowego budynku.

Wkrótce wiadomość o planowanej rozbiórce arsenału rozniosła się. Poinformowała o tym 23 czerwca 1965 r. „Gazeta Gorzowska” w artykule określającym arsenał jako budynek „szpecący miasto” i zapowiadającym zbudowanie na jego miejscu hotelu.⁴ W innym artykule w tej samej gazecie czytamy: „Znajdujący się naprzeciw „Rolnik” jeszcze parę lat zostanie nienaruszony, jednak wraz z wybudowaniem nowego Domu Rolnika i przeprowadzką tej placówki – ponury arsenał zostanie zburzony. Da to większą przestrzeń arterii komunikacyjnej, a jednocześnie umożliwi nowoczesne zabudowanie tego centralnego punktu miasta”⁵ Dopiero po tych informacjach prasowych plany co do przyszłości arsenału stały się znane powszechnie. Wówczas zreflektowano się w urzędzie Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków, który podjął starania zmierzające do zmiany planu i pozostawienia arsenału. O powodach wycofania zgody na rozbiórkę (udzielonej przecież nie wprost, a jedynie poprzez uzgodnienie planu zagospodarowania przestrzennego) Konserwator poinformował władze miejskie. Stwierdził, iż zgoda na rozbiórkę zabytku klasy II leży poza jego kompetencjami. Taką decyzję mogło podjąć jedynie Ministerstwo Kultury i Sztuki, po uprzednim sporządzeniu stosownej dokumentacji technicznej i fotograficznej. Ponadto Stanisław Kowalski – Wojewódzki Konserwator Zabytków – perswadował, iż arsenał nie blokuje drogi stojąc 10 metrów od jej środka i że jego rozbiórka nie jest koniecznością.⁶

Tak na dobrą sprawę, dopiero po tym liście rozpoczęła się dyskusja o dalszych losach arsenału. Wyszła ona poza kręgi planistów i decydentów. W sukurs Konserwatorowi przyszedł gorzowski architekt Mieczysław Rzeszewski. Zaproponował on, aby w budynku zrobić pasaż, wytyczając chodnik ulicy Chrobrego po osi budynku (a więc przez dziedziniec czworokątnego budynku). Według jego koncepcji w odremontowanym arsenał mogłoby powstać centrum turystyczne, sklepy, biura stowarzyszeń, sala wystaw artystycznych i hotel. Dzięki likwidacji dotychczasowego chodnika, argumentował architekt, można by uzyskać dodatkowy pas na poszerzenie jezdni.⁷ Trudno to jednak nazywać dyskusją w pełnym tego słowa znaczeniu. obrońców bowiem arsenał znalazł niewielu. Mieczysław Rzeszewski po latach stwierdził, że: „...nikt mnie nie słuchał. W ludzi wstąpił jakiś amok. Propagandowa wojna przeciwko arsenałowi dała nadspodziewane efekty”⁸ Podobnie zapamiętał to Stanisław Kowalski, który po latach napisał, że władze Gorzowa „dostały alergii na tle arsenału”⁹

Władze miasta po otrzymaniu listu od Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków nie zrezygnowały z pomysłu zlikwidowania zabytkowego budynku. Na posiedzeniu Prezydium MRN 15 czerwca 1966 r. zdecydowano o dalszym prowadzeniu działań w tym kierunku. Prezydium zobowiązało kierownika Wydziału Budownictwa, Urbanistyki i Architektury do przygotowania odpowiedniego wniosku do Ministerstwa Kultury. Zlecono także wykonanie niezbędnej inwentaryzacji budowlano-architektonicznej i studium historycznego.

Rada zajęła się sprawą na sesji 30 czerwca 1966 r. Kierownik Wydziału Budownictwa stwierdził wtedy, że dla prawidłowego wykonania przebiecia ulicy Chrobrego konieczne jest wyburzenie arsenału. Powiedział także: „Budynek ten nie stanowi – zdaniem społeczeństwa miasta Gorzowa żadnego zabytku kultury polskiej i rozbiórka jego po dokonaniu właściwej inwentaryzacji jest konieczna”¹⁰ W stwierdzeniu tym zawarte było chyba sedno sprawy - budynek nie miał większej wartości, gdyż nie stanowił polskiego dziedzictwa narodowego. Na jakiej podstawie wspomniany kierownik powoływał się na opinię mieszkańców, tego nie wiadomo. Ale, jak można sądzić z późniejszych informacji prasowych i listów do „Gazety Gorzowskiej”, być może był to sąd uprawniony.

Arsenał w roku 1957



Rozbiórka arsenału, lato 1969 (ze zbiorów Muzeum w Gorzowie, fot. A. Rezler)



Ponad rok trwało pozyskanie pieniędzy, przygotowanie dokumentacji i wniosku o zgodę na wyburzenie arsenału. Wreszcie w październiku 1967 r. skompletowano niezbędne dokumenty i 3 listopada przewodniczący Prezydium MRN podpisał odpowiednie pismo do Ministerstwa Kultury. Wniosek o zgodę na rozebranie arsenału uzasadniał koniecznością poszerzenia ulicy Chrobrego, jak również złym stanem technicznym budynku. Według ekspertyzy sporządzonej na zlecenie Prezydium MRN, w arsenale stwierdzono „ogólne porażenie i znisz-

czenie elementów budowlanych przez grzyby i owady”¹¹ Zniszczenie budynku oszacowano ogólnie na 70%, a zużycie poszczególnych elementów następująco: mury konstrukcyjne – 50%, tynki zewnętrzne – 100%, stropy – 40%, schody – 80%, więźba dachowa – 25%, stolarka okienna i drzwiowa – 90%. Wniosek uzupełniono dokumentacją składającą się z 9 załączników. Była to inwentaryzacja techniczna, konstrukcyjna, dokumentacja fotograficzna, orzeczenia techniczne oraz opracowanie historyczne autorstwa mgr inż. Jolanty Mijas oraz studium

historyczno-architektoniczne mgr Ewy Kręglewskiej-Foksowicz. Wniosek zaadresowano na Ministerstwo Kultury, jednak wysłano go drogą służbową poprzez PWRN w Zielonej Górze.

W PWRN wniosek trafił do Wydziału Kultury (któremu podlegał Wojewódzki Konserwator Zabytków), który następnie przesłał go do ministerstwa, zaopatrując go jednak w negatywną opinię. W piśmie PWRN z 20 listopada 1967 r. skierowanym do Ministerstwa Kultury czytamy: „Z naszej strony pragniemy nadmienić, że nie podzielamy zdania Prezydium MRN i uważamy, że arsenał powinien być poddany remontowi i adaptacji na cele społeczno-kulturalne. Obiekt ten harmonizuje z położoną nieopodal katedrą oraz relikiami średniowiecznych murów obronnych i bez wątplenia wpływa na podniesienie turystycznych walorów miasta. Po kapitalnym remoncie można było by zlokalizować w nim galerię sztuki współczesnej, pracownię dla artystów, siedzibę stowarzyszeń społeczno-kulturalnych itp.”¹² Ponadto kierownik Wydziału Kultury PWRN podkreślał, iż wielokrotnie zwracał się do Prezydium MRN w Gorzowie próbując przekonać je do rezygnacji z rozbiórki i wyremontowania zabytku. Co więcej, deklarowano wsparcie tego przedsięwzięcia ze środków wojewódzkich!

Opinia Wydziału Kultury PWRN do gorzowskiego wniosku została także przesłana do Prezydium MRN w Gorzowie. Tu szybko zorientowano się, że z negatywną opinią PWRN w ministerstwie wnioski zapewne przepadnie. Dlatego już na posiedzeniu Prezydium MRN w dniu 22 listopada 1967 r. postanowiono uzupełnić go o kolejne materiały. Miały to być wspomniane dokumenty związane z uchwalaniem planu przestrzennego zagospodarowania miasta (zwłaszcza decyzją ze stycznia 1965 r. Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków). Dodatkowo postanowiono uzupełnić wniosek o stanowisko egzekutywy Komitetu Miasta i Powiatu PZPR. Egzekutywa zajęła się sprawą arsenału na posiedzeniu 5 stycznia 1968 r. i w całości poparła przewodniczącego Prezydium MRN.

W aktach Prezydium MRN nie zachowała się decyzja Ministerstwa Kultury dotycząca rozbiórki arsenału. Decyzja taka najprawdopodobniej została wydana na początku kwietnia 1968 r., o czym Wydział Kultury PWRN w Zielonej Górze powiadomił przewodniczącego Prezydium MRN pismem

z 9 kwietnia. Z decyzją o rozbiórce pogodzone się w Zielonej Górze. Jednak Wojewódzki Konserwator Zabytków wyciągnął wnioski z błędu, jaki popełnił uzgadniając w 1965 r. plan zagospodarowania przestrzennego. Wiedząc, iż w Gorzowie trwają prace nad szczegółowym planem zagospodarowania przestrzennego Zamościa (dzielnica Gorzowa), 23 marca 1968 r. przysłał do PMRN pismo w tej sprawie. Poinformował w nim, iż na terenie, będącym w zainteresowaniu planistów, przy ul. Fabrycznej 1 znajduje się zabytkowy spichlerz z XVIII w., który jest wpisany do rejestru zabytków (w grupie I).¹³ W związku z tym wnioskował „aby w opracowywanym planie urbanistycznym nie przewidywać jego wyburzenia lub obudowywania go obcymi dla tego rodzaju architektury budowlami współczesnymi”¹⁴ Tym razem Konserwator dmuchał na zimne zawczasu blokując ewentualne zamiary rozbiórki i tego obiektu, też przecież stojącego tuż przy międzynarodowej trasie.

Decyzja Ministerstwa Kultury nie oznaczała natychmiastowej rozbiórki budynku, który przetrwał jeszcze rok. 9 marca 1967 r. wybuchł w nim pożar, wewnątrz zostało częściowo uszkodzone. Po pożarze Wiejski Dom Towarowy mieszczący się w arsenałach ponownie otworzono 27 marca 1967 r., aby ostatecznie go zamknąć 24 grudnia 1968 r. Dom towarowy przeniesiono do nowej siedziby (przy zbiegu ulic Sikorskiego i dawnej Armii Czerwonej, a obecnej Konstytucji 3 Maja). Dopiero w październiku 1968 r. zapadły ostateczne decyzje co do arsenału. Obiekt postanowiono wyburzyć, a na jego miejscu postawić pawilon handlowy. Do rozbiórki przystąpiono w maju lub czerwcu 1969 r. W połowie lipca budynek był już bez dachu, zaś miesiąc później nie pozostało po nim śladu.

Jeśli wierzyć lakonicznym informacjom zamieszczanym w „Gazecie Gorzowskiej” rozbiórkę arsenału mieszkańcy przyjęli z zadowoleniem. Jeden z czytelników napisał: „Po usunięciu tej rudery dopiero okazało się jaki Gorzów jest piękny. Teraz dopiero uwydatnią się nowe budynki śródmieścia. Już z ulicy Chrobrego mamy piękny widok sięgający na Zawarcie. Takiej przestrzeni może pozazdrościć każde miasto”¹⁵ Trudno powiedzieć na ile ta wypowiedź oddaje sposób myślenia Gorzowian z końca lat sześćdziesiątych. Dla ilu z nich zabytkowa zbrojownia była „rudera”? Tego nie wiemy. Jed-

nak wydaje się, że losem zbrojowni nie przejmowano się zbyt. Symbolem wielkomiejskości i nowoczesności były wówczas szerokie arterie komunikacyjne i blokowiska. Wzorcem była tu zapewne Warszawa. Część mieszkańców przyjęła rozbiórkę arsenału z zadowoleniem, gdyż miasto uzyskało w centrum nowoczesną (bo nową) zabudowę, do której arsenał po prostu nie pasował. Z pewnością nie była to jednak opinia powszechna wśród Gorzowian.

Losy zabytkowego budynku ważyły się prawie przez całe lata sześćdziesiąte. Za jego likwidacją optowały gorzowskie elity decyzyjne. Grupowały się one we władzach administracyjnych – Prezydium MRN (i jego wydziałach: Miejskiej Pracowni Urbanistycznej i Wydziale Budownictwa, Urbanistyki i Architektury) – oraz w władzach politycznych miasta (Komitet Miasta i Powiatu PZPR). Dla nich najważniejsza była modernizacja śródmieścia, zgodnie z obowiązującymi trendami, arsenał zaś kolidował z tymi planami. Wyglądem nie pasował do kilkupiętrowych bloków z płaskimi dachami, którymi zabudowano śródmieście. No i w dodatku przeszkadzał w poszerzeniu ulicy Chrobrego. Trudno to usprawiedliwiać ówczesnym stanem świadomości, tym, że nie ceniono wówczas zabytków, będących wytworem niemieckiej kultury. Jej ślady starano się nieraz po wojnie zacierać i niejednokrotnie czyniono to planowo i systematycznie, ale w połowie lat sześćdziesiątych w Gorzowie i Zielonej Górze byli ludzie, którzy prezentowali zupełnie inny sposób myślenia. Dla nich znacznie ważniejsze od „wielkomiejskiej” arterii było dziedzictwo kulturowe i nie liczone zachowane w Gorzowie zabytki. Rozumieli, że pozbywając się zabytkowej budowli miasto straci na atrakcyjności turystycznej. Do ludzi tych należeli m. in. Gorzowianie, architekt Mieczysław Rzeszewski i kierownik muzeum Henryk Przybylski, oraz Zielonogórzanie, pracownicy Wydziału Kultury PWRN, w szczególności konserwator Stanisław Kowalski, który z urzędu próbował zablokować rozbiórkę i deklarował środki na remont kapitalny. Nie byli jednak oni w stanie przeciwstawić się osobom forsującym likwidację budynku, mającym znacznie większą siłę przebicia.

Wiele lat później Zenon Bauer nawiązał do sprawy wyboru między warszawskim planem odbudowy śródmieścia a poznańskim, który przewidywał

zharmonizowanie nowej zabudowy z katedrą. Bauer powiedział: „To śródmieście, które dziś mamy, to nie jest moje śródmieście! Moje śródmieście to plan poznański ze starówką, z ładnymi kamienicami i ciekawą architekturą, z trzema wieżowcami na ulicy Sikorskiego. A Zielona Góra narzuciła nam plan warszawski”¹⁶. Wynika z tego, że Bauer doceniał znaczenie stylowej architektury wokół gotyckiej katedry, ale jak w takim razie wytłumaczyć, iż w oparciu o nieakceptowany przez siebie plan, zdecydował się jednak usunąć zabytkowy arsenał? Zresztą ani plan warszawski, ani tym bardziej poznański nie przewidywały likwidacji arsenału.

Zenon Bauer jako przewodniczący Prezydium MRN dobrze się zapisał w dziejach miasta. Jego dokonania w latach sześćdziesiątych są znaczne – odbudowa śródmieścia, modernizacja układu komunikacyjnego, utworzenie zawodowego teatru, to tylko kilka z nich. W ciągu jedenastu lat jego działalności miasto rozwinęło się i dokonało skoku cywilizacyjnego. Zdając sobie sprawę z tego, trzeba jednak stwierdzić, iż w sprawie arsenału podjął niewłaściwą decyzję ulegając planistom i lansując rozbiórkę zabytku. Arsenauł nie znalazł obrońców wśród gorzowskich radnych i większości gorzowskich architektów. Nie doceniali oni klasy obiektu, który zamierzali usunąć. Widzieli w nim jedynie „rudere” kolidującą z ich projektami. Było to tym łatwiejsze, że na niszczący z braku remontu budynek w centrum miasta niechętnie spoglądała część mieszkańców. Swoim staroświeckim wyglądem psuł on widok nowo wzniesionych budynków. Jak się wydaje ten pogląd podzielała redakcja „Gazety Gorzowskiej” dość beznamytnie relacjonująca wydarzenia związane z arsenałem. Jej postawę trudno chyba wytłumaczyć tylko ograniczeniami cenzuralnymi.

Decyzja o rozbiórce arsenału została „przemyciona” w planie zagospodarowania przestrzennego śródmieścia z roku 1964. Wywołała ona opisane wyżej kontrowersje. Zabiegi o uzyskanie stosownego zezwolenia były pracochłonne i trwały kilka lat. Było dość czasu, aby zreflektować się i wycofać z rozbiórki, ale mimo to, gorzowscy decydenci zdania nie zmienili. W rezultacie Gorzów, tak zniszczony w 1945 r., stracił jeden z nielicznych ocalałych budynków na terenie starego miasta. Swego rodzaju paradoksem było to, iż Z. Bauer nie doczekał się tego na urzędzie przewodniczącego Prezy-

dium MRN, ponieważ 8 marca 1969 r. zrezygnował ze stanowiska i arsenał wyburzał już jego następca.

Sprawa arsenału wywołała emocje w późniejszych latach. W 1981 r. Jerzy Klincewicz jeden z czołowych działaczy gorzowskiej „Solidarności” napisał: „Miasto ubogie w zabytki, oprócz XV-wiecznej katedry, fragmentu murów obronnych, zdewastowanego XVIII-wiecznego spichlerza i wspomnień po XVIII-wiecznym arsenale (*hańba tym, którzy podjęli decyzję o jego wyburzeniu*) nie miało nic czym mogłoby zaimponować przejeżdżającym turystom” [podkreślenie – autor].¹⁷ W 1994 r. Krystyna Kamińska aby upamiętnić rozebrany budynek tworzonego miesięcznikowi społeczno-kulturalnemu nadała nazwę „Arsenał”; opublikowała w nim artykuł, w którym rozbiórkę zaliczyła nawet do „białych plam” w historii Gorzowa. Według niej głównym sprawcą rozbiórki był architekt Hieronim Świerczyński (1933–2004). Podobnego zdania są także Józef T. Finster i Robert Piotrowski, autorzy monografii o gorzowskich środkach masowej komunikacji. W tym kontekście rozbiórka arsenału jawi się jako absurdalna decyzja jednego człowieka. A przecież o losach XVIII-wiecznego budynku nie mógł zdecydować jeden architekt rozpoczynający dopiero swoje zawodowe życie.

Niewątpliwie tego typu działania jak rozbiórki starych obiektów są konieczne w czasie modernizacji miast. Nie można przecież lekceważyć przebudowy komunikacji miasta. Z drugiej jednak strony można szukać rozwiązań chroniących nieliczne relikty historycznej zabudowy miasta. Przecież wąskie drogi w okolicach starówek są powszechnym problemem i mało kto domaga się ich poszerzenia kosztem likwidacji zabytków. Nie był wystarczającym uzasadnieniem rozbiórki zły stan obiektu, choć z pewnością budynek około 160-letni nie był w doskonałym stanie technicznym. Zachowane zdjęcia pokazują ubytki w tynku, opracowania architektów i historyków potwierdzają, że budynek wymagał remontu. Jednakże autorki cytowanych opracowań nie stawiały wniosków o wyburzenie. Obie podkreślały ubogą szatę architektoniczną obiektu, ale także interesujące rozwiązanie konstrukcji czterospadowego dachu. Uszkodzone tynki i ciężka, przysadzista architektura nie wywoływała zachwytów nad budynkiem. Grażyna Wróblewska w 1964 r. opisała arsenał jako: „Rozsiadły, ponury gmach (...)

uży monotonią swych niewielkich a licznych okienek”¹⁸ W podobnych barwach ukazał go w 2006 r. Jerzy Zysnarski.¹⁹ Jednak czy to było dostatecznym usprawiedliwieniem wyburzenia? Było przecież jednoznaczne stanowisko Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków. Rozbiórka arsenału zubożyła miasto, które zostało pozbawione elementu historycznej zabudowy. Powodem rozbiórki była chęć usprawnienia komunikacji z jednej strony oraz lekceważący stosunek do zabytku nie związanego z polską historią z drugiej.

¹ Archiwum Państwowe w Gorzowie Wlkp. (dalej:APG), Prezydium Miejskiej Rady Narodowej w Gorzowie Wlkp., sygn. 12,322,333,879,881,1566,1571.

² *Wiejski Dom Towarowy opuści arsenał*, „Gazeta Gorzowska” 1959 nr 210, s.5.

³ *Śródmiejskie sprawy do załatwienia*, „Gazeta Gorzowska” 1962 nr 281, s.5.

⁴ *Rozstrzygnęły się losy arsenału*, „Gazeta Gorzowska” 1965 nr 147, s.5.

⁵ *Jeszcze jeden budynek przy ul. Marchlewskiego do rozbiórki*, „Gazeta Gorzowska” 1965 nr 221, s.7.

⁶ *Nie ma mowy o rozbiórce arsenału*, „Gazeta Gorzowska” 1966 nr 102, s.7.

⁷ *Podyskutujmy o arsenale. Zanim zapadnie decyzja*, „Gazeta Gorzowska” 1966 nr 117, s.5.

⁸ K. Kamińska, *Tylko nieliczni bronili arsenału*, „Arsenał” 1995 nr 1, s.41.

⁹ S. Kowalski, *Zabytki słuszne i niesłuszne. Ze wspomnień konserwatora*, „Siedlisko” 2006 nr 2, s.8. Autor niesłusznie obarcza rozbiórką arsenału „władze powiatowe”, te same które doprowadziły do rozbiórki zamku w Kostrzynie. Kostrzyn był na terenie Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Gorzowie, zaś sam Gorzów stanowił powiat miejski, w którym władzą administracyjną było Prezydium Miejskiej Rady Narodowej.

¹⁰ APG, PMRN w Gorzowie, sygn. 14, Protokół nr V/66 z V zwyczajnej sesji MRN odbytej w dniu 30 czerwca 1966 r.

¹¹ APG, PMRN, sygn. 879, Pismo PMRN do Ministerstwa Kultury z 3 XI 1967 r.

¹² APG, PMRN, sygn. 879, Pismo PWRN do Ministerstwa Kultury z 20 XI 1967 r.

¹³ Budynek ten odremontowano w 1989 r. Obecnie stanowi siedzibę Muzeum Lubuskiego im. Jana Dekerta w Gorzowie.

¹⁴ APG, PMRN, sygn. 881, Pismo Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków w Zielonej Górze do PMRN z 23 III 1968 r.

¹⁵ *Zgodna opinia mieszkańców*, „Gazeta Gorzowska” 1969 nr 196, s.5.

¹⁶ Z. Bauer, *Bauer przedwojenny. Gdyby dziś był prezydentem, Gorzów wyglądałby zupełnie inaczej*, rozmowę przeprowadził A. Rosiak, „Ziemia Gorzowska”, 1998 nr 19, s.5.

¹⁷ J. Klincewicz, *Wybierzmy kota z mieszka?*, „Echo” 1981 nr 35, s.7.

¹⁸ G. Wróblewska w: *Gorzów Wielkopolski. Przeszłość i teraźniejszość*, pod red. J. Wąsickiego, Poznań 1964, s.80.

¹⁹ W encyklopedii Gorzowa, która ma się ukazać w 2007 r.

Igraszki z ponemieckim dziedzictwem

Incydent w Nakomiadach związany z renowacją i relokacją kamienia poświęconego Bismarckowi¹, skłania do przypomnienia, że na upamiętnienie składają się trzy podstawowe momenty. Pierwszy z nich, to uwarunkowany preferencjami tożsamościowymi świadomy wybór w zastanym dziedzictwie historycznym, który wiernie i dokładnie informuje kim się jest, co się lubi i szanuje. Drugi, to nadanie upamiętnieniu przesłania, a więc programu ideowego skierowanego do współczesnych i potomnych, celem ukształtowanie ich tożsamości w takim, a nie innym duchu. I wreszcie trzeci, niezmiernie ważny moment, to funkcjonowanie pomnika, czyli usytuowanie go w krajobrazie kulturowym oraz pamięci zbiorowej lokalnych i ponadlokalnych społeczności. Gdyby pod tym kątem spojrzeć na przypadek w Nakomiadach, to nasuwają się nieodparcie pytania: o tożsamość obecnych mieszkańców, o przesłanie zawarte w odnowionym kamieniu Bismarcka i funkcję jaką w życiu społeczności wiejskiej ma on spełniać po ulokowaniu w nowym, eksponowanym miejscu. Rzecz jest intrygująca tym bardziej, że w grę wchodzi upamiętnienie nie lokalnego, lecz ogólnoniemieckiego dziedzictwa - jawnie antypolskiego i nacjonalistycznego, kwestionowanego nie tylko w Polsce, ale również w Republice Federalnej Niemiec. W monumentalnym wydawnictwie poświęconym niemieckim miejscom pamięci, Lothar Machtan twierdzi, że Niemcy nie mają obecnie żadnego powodu nawiązywać do spuścizny Bismarcka, i mit „żelaznego kanclerza” dzieli losy niemieckiej mitologii narodowej, czyli odchodzi w społeczny niebyt.² Warto w związku z tym przypomnieć w jakiej atmosferze duchowej zrodziło się upamiętnienie Bismarcka i jakie niesło przesłanie w pomnikach, wieżach, kamieniach, reliefach i tablicach, których resztki przetrwały gdzieś na Ziemiach Zachodnich i Północnych.

W zjednoczonych po 1871 r. Niemczech pomnik polityczny w przestrzeni publicznej rozpowszechnił się na skalę niespotykaną w innych krajach,

może z wyjątkiem Francji, która przeżyła również falę statuomanii. Dość przypomnieć, że w 1818 r. istniało w niemieckiej przestrzeni publicznej 18 monumentów tego typu, natomiast w 1883 r. było ich już ponad 800! I nadal przybywały. Ze względu na program ideowy stanowiły one jaskrawe przeciwieństwo wzorca francuskiego. W Niemczech pielęgnowano nie tradycje republikańskie, jak czyniono to we Francji, lecz jedności narodowej, a ściślej rzecz biorąc – tradycje nacjonalistyczne i militarystyczne. W latach osiemdziesiątych stworzono wielkie panoramy wizualizujące zwycięstwo nad Francją w wojnie 1870-1871 (Frankfurt/M, Berlin), które miały oddziaływać na wyobraźnię mas i rozbudzać emocje narodowe; w podobnym duchu przemawiały późniejsze panoramy wizualizujące niemieckie podboje kolonialne i niemiecką potęgę na morzu. Podręczniki szkolne pielęgnowały mitologię narodową sięgając do legendy o Barbarossie, do kultu Germanii, misji kolonizacyjnej na wschodzie i wojny z Napoleonem. Nowa generacja Niemców, która doszła do głosu w latach 1890-1900, wychodziła poza tradycje małoniemieckie i pruskie, hołdując nacjonalizmowi w wydaniu volkistowskim. Niezwykłym zjawiskiem była cześć oddawana Bismarckowi jako zwycięzcy w trzech wojnach (Dania, Austria, Francja) i twórcy potęgi zjednoczonych Niemiec. Upamiętnianie kanclerza Rzeszy mieściło się w szerszym nurcie wznoszenia pomników narodowych, który nabrał niebywałego rozmachu w okresie między wojną francusko-niemiecką (1870-1871) a wybuchem I wojny światowej (1914).

Niemieckie pomniki polityczne w swoim programie ideowym demonstracyjnie odwracały się od kultury zachodniej, kreując zwłaszcza po 1890 r. mitologię narodową i rasową, odwołującą się do irracjonalizmu i mistyki teutońskiej, nierzadko także jawnego pogaństwa.³ Nie przypadkiem Niemcy bardzo chętnie posługiwali się granitem jako podstawowym materiałem pomnikowym symbolizującym rustykalizm przeciwstawiany skorumpowanemu kosmopolityzmowi, czy nawet cywilizacji

zachodniej w ogóle. Również nie przypadkiem ogromne założenia pomnikowe wznosili na klifach lub wzgórzach dominujących nad okolicą. Stworzyli wzorzec pomnika, wielkiego i wystawnego, panującego nad naturą – pomnika narodowego (Nationaldenkmal). Przez czterdzieści lat (1838-1875) budowano monsturalny (60 m. wysokości) Hermannsdenkmal (Północna Nadrenia-Westfalia), upamiętniający zwycięstwo Arminiusa (9 r. n.e.) nad legionami rzymskimi, z mieczem skierowanym ku zachodowi. W 1883 r. odsłonięto Niederwalddenkmal (Hesja), z gigantyczną Germanią (posąg: 10,5 m.), dzierżącą w prawej ręce koronę cesarską; upamiętniono w ten sposób zjednoczenie Niemiec, dorzucając na pomniku antyfrancuskie przesłanie: „Wacht am Rhein”. Wielkim wydarzeniem było poświęcenie w 1896 r. monumentu na wzniesieniu Kyffhäuser (Turyngia), z pomnikiem konnym Wilhelma I i spoczywającego na tronie Fryderyka I Barbarossy, co unoczniać miało ciągłość między ideą cesarstwa reprezentowaną przez dynastie Stauffów i Hohenzollernów. W 1913 r. odsłonięto wielkie założenie pomnikowe w Lipsku dla upamiętnienia zwycięstwa nad Napoleonem w „bitwie narodów” (1813).

Niezwykle rozmiary przybrała akcja stawiania pomników Wilhelma I: w latach 1888-1898 wzniesiono na jego cześć 63 pomniki konne, 231 w pozycji stojącej, 5 w pozycji siedzącej, a do tego rozliczne popiersia i 28 wież. Do najważniejszych realizacji zalicza się pomniki konne w Porta Westfalica (1896), na Kyffhäuser (1896), w Koblencji (1897), Hohensyburgu k/Dortmundu (1902). Jednakże centralne miejsce w upamiętnianiu pogromcy Francji zajęło odsłonięte podczas szumnych uroczystości w Berlinie (1897) rozległe założenie pomnikowe, zaliczone w poczet niemieckich pomników narodowych (Kaiser-Wilhelm-Nationaldenkmal). Zostało ono ufundowane przez Reichstag w szczególnie prestiżowym miejscu, w pobliżu Zamku Królewskiego, na specjalnie w tym celu zbudowanym półwyspie na Szprewie. Robiło duże wrażenie swoim rozmachem, ale zrażało neobarokowym przeładownością ornamentami; ze względu na mnogość motywów zwierzęcych mówiono złośliwie, że Wilhelm II ufundował przodkowi prawdziwe zoo (Zoo von Wilhelm Zoo); w 1950 r. pomnik zburzono. Pomniki Wilhelma I wizualizowały monarchiczną władzę w sposób bezpośredni, przez postać identyfikowaną hi-

storycznie, wpisywaną jednak w ideę wielkiej niemieckiej Rzeszy. Kult cesarza pielęgnowano odgórnie, świadomie i celowo, przy dużym osobistym zaangażowaniu Wilhelma II.⁴ Odegrał on niezmiernie ważną rolę w kształtowaniu niemieckiej świadomości narodowej – uwolnił ideę monarchiczną od partykularyzmu terytorialnego i złączył ją z pojęciem narodu.

Niemal równoległe z pomnikami cesarza Wilhelma I pojawiły się pomniki kanclerza Bismarcka, czasami w tych samych miejscowościach, ale w takich wypadkach sytuowane w osobnym miejscu. Bismarckowi zaczęto stawiać pomniki krótko po jego ustąpieniu z urzędu kanclerza (1890), jednakże nabrało to prawdziwego rozmachu dopiero po jego śmierci (1898) i trwało nieprzerwanie do wybuchu I wojny światowej; w okresie republiki weimarskiej budowanie pomników Bismarcka należało do rzadkości, zdarzało się jedynie w ośrodkach prowincjonalnych. Edgar Wofrum tak pisał o zauroczeniu postacią Bismarcka i powszechnej mani uwieczniania go pomnikami: „Po dymisji Bismarcka jako kanclerza Rzeszy, a przede wszystkim po jego śmierci, pojawiła się prawdziwa fala jego pomników. Powstał mit Bismarcka, który rozpowszechnił się szczególnie wśród drobnomieszczaństwa i wcale nie musiał być uruchamiany dopiero ‘odgórnie’ przez państwo pruskie. W Niemczech powstało około 700 pomników Bismarcka, wież i słupów, ale polityczne przesłanie nosiły także niezliczone małe formy rzeźbiarskie, malowidła i kartki pocztowe. ‘Twórca’ Rzeszy – o powstawaniu Rzeszy mówiono jako o swego rodzaju ‘dziejach stworzenia’ – określał niemiecko-patriotyczny świat uczuć i wyznań. Bismarck doświadczył monumentalizacji i heroizacji, a przedstawiany najczęściej w mundurze i z mieczem, czasami również w średniowiecznej zbroi, stał się patronem mocarstwo-politycznej wielkości Niemiec, symbolem o ponadczasowej randze. W micie Bismarcka znalazła trwałe pożywienie germanofilska i szowinistyczna propaganda, skierowana zwłaszcza do młodej generacji. Wyrażała się w nim tęsknota za powrotem tytanów, którym można zaufać”⁵

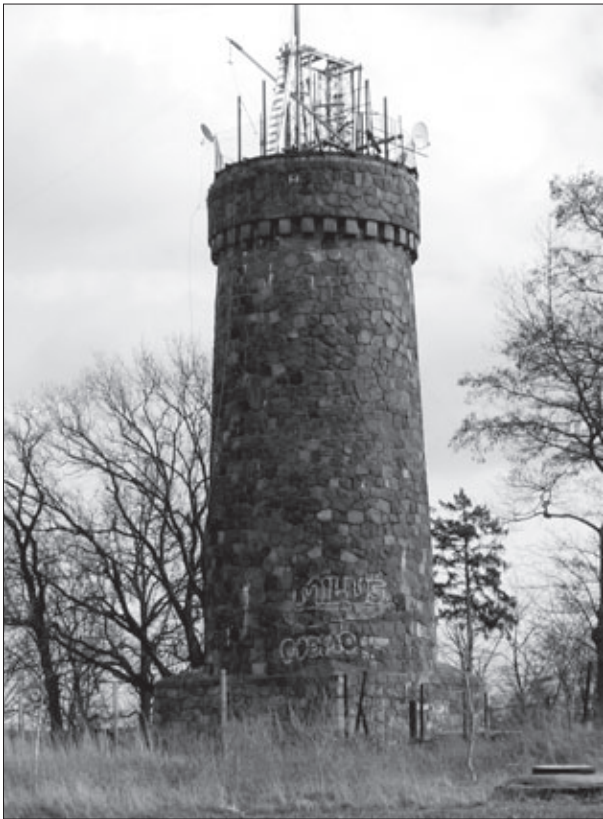
Helmut Scharf pisał, że o ile pomniki Wilhelma I stanowiły dynastyczno-polityczny symbol małonieemiecko-pruskiego państwa narodowego, o tyle pomniki Bismarcka miały zintegrować różne, nierząd-

ko pozostające w konflikcie grupy społeczne (burżuazja, junkierstwo, drobnomieszczaństwo, proletariat), jak również społeczności regionalne, cechujące się dużymi odrębnościami i silnym poczuciem partykularyzmu. Cesarz był na pomniku przede wszystkim postacią historyczną, podczas gdy kanclerz urastał do symbolu państwowego o wymiarach ponadczasowych. Widziano w nim bohatera narodowego, uosobienie ideału niemieckiego, strażnika i obrońcę Rzeszy, ucieleśnienie niewzruszonej siły i zwartości narodu niemieckiego. W świadomości społecznej „żelazny kanclerz” funkcjonował jako postać mityczna. Scharff podkreślał: „W rezultacie tylko owemu abstrakcyjno-idealizującemu, symbolicznemu uogólnieniu historycznej postaci Bismarcka należy zawdzięczać to, że jego osoba w Bawarii, jak również w północnym Szlezwiku, w Hamburgu oraz w niemieckich koloniach, mogła być wykorzystana do reprezentowania Rzeszy i małoniemieckopruskiego państwa narodowego. Pomniki Bismarcka są oryginalne ze względu na to, że po raz pierwszy w niemieckiej historii kanclerz Rzeszy doznał w takim zakresie liczego i wielkiego uhonorowania pomnikiem, jakiego przedtem żadna osoba panująca nie mogła zarejestrować na swoje konto”⁶

W okresie poprzedzającym wybuch I wojny światowej planowano wzniesienie 700 różnego rodzaju pomników Bismarcka, z czego zrealizowano ok. 500 projektów, zdecydowanie najmniej w księstwach Sachsen-Meiningen, Waldeck i Schaumburg-Lippe, niewiele w królestwach Württembergii i Bawarii, najwięcej zaś w królestwie Saksonii, jak również na terenie Nadrenii, Ruhry i Westfalii. Jeśli pomniki Wilhelma I powstawały na ogół z inspiracji odgórznej, to pomniki Bismarcka wznoszono w dużej mierze spontanicznie, oddolnym sumptem, głównie z inicjatywy grup interesów związanych z przemysłem, handlem, gospodarką morską; zajmujące się tym stowarzyszenia skupiały przedstawicieli wielkiej i średniej burżuazji, pieniądze pochodziły w dużej części z publicznych zbiórek. Do najważniejszych realizacji oddających hołd kanclerzowi zalicza się pomnik Bismarcka w Berlinie (Bismarck-Nationaldenkmal), pomniki nad jeziorem Starnberg, na Knivsbergu koło Apenrade, w Hamburgu. Szczególnie imponujący monument w porcie hamburskim stanowi do dzisiaj dużą atrakcję turystyczną i zarazem miejsce zgromadzeń ugru-

powań skrajnie prawicowych. Sztandarowy pomnik berliński (1901) został celowo usytuowany przed budynkiem Reichstagu, co zakrawało na ironię, albowiem lekceważący stosunek kanclerza do parlamentu Rzeszy był aż nazbyt dobrze znany. Pomnik-wieża Bismarcka w porcie Cap Nachtigal w Kamerunie (1901) odzwierciedlał niemieckie ambicje imperialistyczne w okresie wilhelmińskim. Przejrzystą wymowę miało wzniesienie pomnika na Knivsbergu (1910), czyli na obszarze północnego Szlezwiku, przyłączonego w 1864 r. do Prus (obecnie terytorium duńskie). Na terenie zaboru pruskiego pomniki Bismarcka spełniały dodatkową funkcję, a mianowicie stanowiły symbole niemieckości, które miały uświadomić Polakom, że zamieszkują nie na własnej, lecz niemieckiej ziemi.⁷

Podstawową formą pomników Bismarcka był konwencjonalny posąg w postawie stojącej, wyjątkowo na koniu (Brema), albowiem pomniki konne zasadniczo rezerwowano dla głów koronowanych. W latach dziewięćdziesiątych z reguły przedstawiano Bismarcka w mundurze i z pikielhaubą na głowie, choć kanclerz żadnej kariery wojskowej nie robił. Dodajmy, że niezwykle popularne były również fotografie Bismarcka w mundurze, ewokujące jego przesłanie o polityce uprawianej „krwią i żelazem”. Dirk Reinartz i Christian Graf von Krockow tak opisali typowy pomnik „żelaznego kanclerza”: „Lewa lub prawa noga wysunięta, głowa obnażona lub jeszcze częściej w pikielhaubie, mundur żołnierski albo płaszcz rozpięty lub zapięty. Dalej w przypadkach wyjątkowych pojawiają się wariacje tematyczne potwierdzające tę regułę. Zawsze ubiór żołnierski, zawsze wysokie buty i szabla, zawsze ten mąż stanu w mundurze”.⁸ Epoka wilhelmińska lubowała się w mundurach, tytuł oficera rezerwy gwarantował solidną pozycję społeczną. W północnych Niemczech występowały pomniki Bismarcka nawiązujące do motywu Rolanda, czyli rycerza dzierżącego obnażony miecz. Przypomnijmy, że średniowieczny pomnik Rolanda był popularny właśnie w miastach Niemiec północnych, między Wizerą a Odrą, jak również na obszarze wschodniej kolonizacji niemieckiej. Symbolika Rolanda nie jest zbyt pewna, na ogół przyjmuje się, że wyobrażał przestrzeganie praw (wolności) miejskich, jednakże olbrzymi Bismarck-Roland w porcie hamburskim miał w założeniu bronić nie praw miejskich, lecz



Wieża Bismarcka w Świebodzinie 2007 r.
(fot. M. Tujdowski)

strzec niemieckiej potęgi na morzu, rzucającej wyzwanie panowaniu floty brytyjskiej. W każdym razie Bismarck w cywilu należał do rzadkości. Około 1900 r. pojawiły się pomniki ukazujące zadumane go kanclerza na przechadzce, z laską i psem, wznoszone z „germańskiego” i „nordyckiego” granitu.

Niezwykle rozpowszechnione było oryginalne rozwiązanie komemoracyjne w postaci tzw. wież Bismarcka (Bismarcktürme). Pierwszą taką wieżę zbudowano w 1894 r. w Göttingen, później rozpowszechniły się one na terenie całej Rzeszy, pojawiły się nawet w koloniach niemieckich (Kamerun). W 1898 r. niemieccy studenci ogłosili konkurs na standardową wieżę: z granitowymi kolumnami, masywną, prostą i surową w wyrazie, bez ozdobicstwa, z misą na szczycie, gdzie w określone dni miał płonąć w nocy ogień, symbolizujący miłość do ojczyzny i wierność Niemczyźnie aż do śmierci. W odezwie konkursowej zwracały uwagę odwołania do pogańskiej germańskości i narodu pojmowanego nie państwowo, lecz etnicznie (volkizm). Konkurs wygrał w 1899 r. Wilhelm Kreis (1873-1955), przedstawiając projekt pod charakterystyczną nazwą „Zmierzch Bogów” („Gotterdämmerung”): coś w rodzaju masywnego ołtarza, obramowanego

czterema kolumnami, z olbrzymią misą ogniową na szczycie, mającego się kojarzyć z germańskimi stosami pogrzebowymi (proste formy geometryczne, bez akcentów dekoracyjnych). Według nagrodzonego projektu zbudowano 47 „kolumn ogniowych”, przy czym Kreis zaprojektował dodatkowo 11 innych podobnych obiektów, m.in. zachowaną do dzisiaj wieżę w Szczecinie, której pomysł nawiązywał do grobowca Teodoryka w Rawennie.

Thomas Nipperdey, analizując odezwę konkursową oraz nagrodzony projekt Kreisa, mocno podkreślił oryginalność architektonicznej formy „kolumn ogniowych” jako wzorca specyficznego narodowego pomnika, wystylizowanego w duchu niemiecko-germańskim. Zwrócił uwagę na interesujące uobecnienie Bismarcka jedynie w postaci symbolu, mitycznej figury niemieckiej jedności narodowej. Jako konkretna indywidualność pojawiał się najwyżej na skromnym reliefie lub poprzez inskrypcję zawierającą cytaty z jego wypowiedzi. Upamiętniano nie tyle osobiście Bismarcka, ile jego wielkie dzieło stworzenia potężnych Niemiec. Pomnik o masywnej, surowej i poważnej formie miał z jednej strony reprezentować wielki naród, z drugiej natomiast zwracać się do niego z apelem o wewnętrzną integrację. Prosta forma architektoniczna oddziaływała pobudzająco na ducha wspólnoty niemieckiej, zwłaszcza podczas uroczystości, którym towarzyszył odpowiedni rytuał polityczny, z ogniem zapalonym w wysoko umieszczonych misach. Partycypował w nich już nie zindywidualizowany obserwator, lecz uczestnik wspólnotowych obrzędów. Obiekt pomnikowy miał charakter ponadindywidualny i odpowiednio do tego adresat i odbiorca również ztracali cechy indywidualne.⁹ Przy „kolumnach ogniowych” gromadzono się regularnie w dzień urodzin Bismarcka (1 kwietnia), w noc letniego przesilenia (21 czerwca) oraz w Dniu Sedanu (Sedantag), czyli w rocznicę kapitulacji armii francuskiej w Sedanie (2 września 1870).

Kryteria wyboru dziedzictwa oraz przesłania ideowego, jakimi kierowano się stawiając pomniki Wilhelma I oraz Bismarcka (zwłaszcza Bismarcka!) nie nasuwają żadnych wątpliwości i nie ma potrzeby się dłużej nad nimi rozwodzić. W atmosferę towarzyszącą budowaniu pomników w okresie Cesarstwa wprowadza bardzo dobrze lektura „Poddanego” Henryka Manna, zwłaszcza ostatnich stronic



Wieża Bismarcka w Zielonej Górze 2007 r.
(fot. M. Tujdowski)

powieści. Gdyby współcześni Niemcy mieli podzielać program ideowy tych upamiętnień, byłby powód do niepokoju, ale gdyby to samo mieli czynić współcześni Polacy, byłoby to kuriozalne. Oczywiście, na Ziemiach Zachodnich i Północnych może pojawić się pytanie, co robić z relikami upamiętnień niemieckich, których programu ideowego nie można żadną miarą zaakceptować. W sumie pozostało ich niewiele, albowiem na ziemiach przyłączonych w 1945 r. do Polski los pomników cesarza Wilhelma I i kanclerza Bismarcka był łatwy do przewidzenia. Usuwano je z całkiem zrozumiałych względów, choć z dzisiejszego punktu widzenia może lepszym rozwiązaniem byłoby przeniesienie ich do skansenu niemieckiego militarystyki i nacjonalizmu. W rezultacie, pomnikowa wizualizacja Bismarcka uległa zatarciu, czasami przedefiniowano miejsce jego upamiętnienia, tak jak w Słupsku, gdzie na postu-

mencie zajmowanym przez kanclerza stanął Henryk Sienkiewicz. W dawnym majątku Bismarcka, w Warcinie, kilkadziesiąt kilometrów od Słupska, nie przypadkiem wzniesiono pomnik autorki „Roty” - Marii Konopnickiej.¹⁰ W zasadzie nie występuje w szerszej skali problem tego, co robić ze śladami hołdu składanego Bismarckowi lub pokrewnym mu postaciom z panteonu niemieckiego nacjonalizmu i militarystyki.

Na obszarze współczesnej Polski zachowało się 17 „wież Bismarcka” z istniejących tu niegdyś 40 obiektów. Wiele z nich zostało zburzonych po 1945 r., kilka padło ofiarą naturalnej destrukcji, część przetrwała i znalazła rozmaite, czysto użytkowe zastosowanie. W niezłym stanie technicznym zachowały się wieże w Świebodzinie, Wieleniu, Zielonej Górze, Lęborku, Szczecinku, Szczecinie. Jednakże wątpliwe, żeby promieniowały one dawną wymową symboliczną i sprzyjały propagowaniu



Obelisk Bismarcka w Piotrowicach 1998r.
(fot. M. Tujdowski)

volkistowskiego nacjonalizmu rodem z epoki wilhelmińskiej. Stanowią one raczej mniej lub bardziej interesujące elementy krajobrazu kulturowego, i nie ponadto, chyba że zostaną otoczone jakimś specjalnym kultem rewitalizującym tradycję bismarckowską. W gruncie rzeczy z analogicznym spokojem można podejść do świeżo odnalezionego poniemieckiego kamienia pamiątkowego, nawet o mocno dwuznacznej wymowie, ale tylko pod warunkiem, że nie zostanie poddany zabiegom renowacyjnym, odnawianiu literactwa, wznoszeniu nowych postumentów i relokowaniu w eksponowane miejsce, ponieważ w tym momencie rozpoczyna się świadomy wybór dziedzictwa i świadome pielęgnowanie tradycji. Należy tylko zadbać o nie niszczenie śladów przeszłości, i o nic więcej. Najlepiej pozostawić kontrowersyjne znalezisko nienaruszone w pierwotnym miejscu postoju (z tablicą informacyjną), ewentualnie umieścić na terenie najbliższego muzeum lub lapidarium. Potraktowane jako szczególna lokalna atrakcja, w dodatku specjalnie upiększana i silnie na nowo eksponowana, wywołuje konsternację i zażenowanie. Bardziej to groteskowe niż oburzające.¹¹

- 1 Por. J. Jasiński, *Bismarck i inne przypadki. Droga na manowce*, „Siedlisko”, 2005 nr 1, s.3-7.
- 2 L. Machtan, *Bismarck*, w: E. François, H. Schulze, *Deutsche Erinnerungsorte*, t. III, München 2000, s.87.
- 3 S. Michalski, *Public Monuments. Art in Political Bondage 1870-1997*, London 1998, s.56-76.
- 4 H. Scharf, *Kleine Kunstgeschichte des deutschen Denkmals*, Darmstadt 1984, s.219-229.
- 5 E. Wolfrum, *Geschichte als Waffe. Vom Kaiserreich bis zur Wiedervereinigung*, Göttingen 2001, s.19.
- 6 H. Scharf, *Kleine Kunstgeschichte...*, op.cit. s.237.
- 7 Por. W. Molik, „Straż nad Wartą”. *Pomnik Bismarcka w Poznaniu (1903-1919)*, „Kronika Miasta Poznania”, 2001 nr 2, s.91-108.
- 8 D. Reinartz, Ch. Graf von Krockow, *Bismarck. Vom Verat der Denkmaler*, Göttingen 1991, s. 26.
- 9 Th. Nipperdey, *Nationalidee und Nationaldenkmal in Deutschland im 19. Jahrhundert*, „Historische Zeitschrift”, 1968 nr 3, s.578-579.
- 10 D. Reinartz i Ch. Krockow błędnie podają, że jest to pomnik „polskiej partyzantki”, co wydaje się o tyle dziwne, że przynajmniej Krockow dobrze zna Słupsk i okolice, por. D.Reinartz, Ch. Krockow, *Bismarck...* op.cit. s.51.
- 11 „Dziennik z 10-11 marca 2007 r. zamieścił artykuł A. Grabarczyka (*Radny z Olsztynka chce uczcić Hindenburga. Bogumił Kuźniewski za pieniądze unijne zamierza odbudować mauzoleum*), informujący o tym, że prezes Towarzystwa Przyjaciół Olsztynka, radny Bogumił Kuźniewski chce odkopać i odbudować kryptę grobowca Hindenburga na miejscu dawnego pomnika niemieckiego zwycięstwa pod Tannenbergiem (1914). W istocie jest to pomysł upamiętnienia niegdysiejszego pomnika – nie tylko nacjonalistycznego, ale i nazistowskiego, i to za pieniądze z Unii Europejskiej! Cyrk.

MAREK NOWACKI

Eberhard Hilscher – honorowy obywatel Świebodzina

W roku 2000 władze miasta Świebodzina nadały honorowe obywatelstwo niemieckiemu pisarzowi Eberhardowi Hilscherowi. W uzasadnieniu podkreślono świebodzińskie korzenie rodzinne pisarza, stały, wieloletni kontakt z miastem urodzenia, ogólnoludzkie i humanistyczne idee jego dzieł, sympatię do Polski i Polaków oraz udział we współczesnym polsko-niemieckim dialogu literackim. Wydarzenie w skali lokalnej wieńczyło okres własnych, indywidualnych poszukiwań „świebodzińskich tropów” w życiu autora i rozpoczynało nowy – wspólny, polsko-niemiecki nurt dyskusji o przeszłości i przyszłości losów miasta.

Eberhard Hilscher urodził się 28 kwietnia 1927 r. w Świebodzinie (Schwiebus) jako syn Maxa Hilschera, miejscowego nauczyciela oraz Hildegardy z domu Deutschmann. Do dziś stoi dom, przy obecnej ul. Łużyckiej 40 (wówczas Kutschlauer Straße 44), w którym przyszedł na świat przyszły literat. E. Hilscher uczęszczał w Świebodzinie w latach 1934-1938 do ewangelickiej powszechnej szkoły dla chłopców, a następnie w latach 1938-1944 do szkoły średniej i liceum. Po przeszkoleniu wojskowym trafił pod koniec 1944 r. do jednostki Wehrmachtu stacjonującej w Danii, a wraz z zakończeniem działań wojennych do amerykańskiego obozu jenieckiego (1945-1946).

Po wojnie był przez pewien czas robotnikiem w fabryce cukru, następnie zdał maturę i studiował germanistykę, pedagogikę i geografę na Uniwersytecie Humboldta w Berlinie, uzyskując dyplom z germanistyki. Krótko był lektorem, a od 1953 r. tzw. wolnym pisarzem (freier Schriftsteller) w Berlinie. Jest autorem kilku książek, często o dużych nakładach, m.in. o Tomaszu Mannie (1965), Arnoldzie Zweigu (1968) i Gerharcie Hauptmannie (1969), powieści o średniowiecznym minesengerze Walterze von der Vogelweide (1976 i 1992), esejów poetyckich (1977) i historyczno-literackich (2000) oraz powieści „Die Weltzeituhr” (1983). Część z nich tłumaczona była na język węgierski, rosyjski, szwedzki, angielski i japoński. Napisał szkice i felietony o znanych postaciach, np. o Sokratesie, Hafizie, Casanovie i Darwinie. Uczestniczył i współtworzył liczne literackie audycje radiowe i telewizyjne. Publikował również swoje studia i eseje w polskich czasopismach germanistycznych – we wrocławskich „Zbliżeniach” i warszawskich „Studiach Niemcoznawczych”. Wygłaszał referaty na konferencjach i sympozjach w Niemczech, Polsce i innych krajach. Odnotowywany jest w wielu prestiżowych leksykonach literackich, encyklopediach i przewodnikach, np. u Th. Dörfelta (1989), U. Müllera (1994), M. Braunecka (1995), H. Zimmermanna (2004). Powstają prace dyplomowe i doktorskie, dotyczące jego twórczości (np. doktorat Anny Adamczyk z Uniwersytetu Wrocławskiego).

Po raz ostatni przed zakończeniem wojny E. Hilscher był w Świebodzinie w listopadzie 1944 r., później w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych kilkakrotnie odwiedzał swoje rodzinne strony podczas prywatnych wizyt wraz z żoną Ute Reimann-Hilscher. W latach dziewięćdziesiątych te wizyty się zintensyfikowały i niejednokrotnie corocznie małżeństwo Hilscher spędzało kilka dni w mieście, najczęściej w czasie kolejnej rocznicy urodzin pisarza, odwiedzało muzeum, dawny dom rodzinny Hilscherów i spotykało się z władzami miasta oraz z wielu tutejszymi znajomymi i przyjaciółmi. Zaliczali się do nich m.in. Włodzimierz Zarzycki, geograf i tłumacz (zm. 2004), Zachariasz Wojciechowski, polonista, Jan Sobociński, nauczyciel (zm. 2004), dr Krzysztof Stępień, lekarz. Krąg znajomych, przy wielkim, osobistym otwarciu PP Hilscherów, stale się rozszerzał – o środowisko miejscowego ducho-

wieństwa, literatów, dziennikarzy, ludzi kultury i polityki. Państwo Hilscher bywali również w Lubrzy – dawnym miasteczku, skąd wywodziła się rodzina Hilscher oraz w Gościkowie-Paradyżu, byłym wielkopolskim klasztorze cysterskim, dziś najcenniejszym i reprezentatywnym zabytkiem w gminie Świebodzin. Jak twierdził E. Hilscher, na podstawie studiów genealogicznych jego ojca, pewien ich potomek w początkach XIX w. wyemigrował z Lubrzy do Polski, prawdopodobnie do Łodzi i tam zamieszkał na stałe; Hilscher żartował nawet, że z pewnością w związku z tym ma w Polsce swoich krewnych (dodajmy na marginesie, że rzeczywiście początki XIX w., to okres kryzysu gospodarczego w Świebodzinie i okolicy, a także liczna fala emigracji tutejszych rzemieślników do ośrodków przemysłowych, głównie włókienniczych, w Królestwie Polskim). W Lubrzy byli także Hilscherowie honorowymi gośćmi uroczystych obchodów 750-lecia istnienia miejscowości w 1999 r., spotkali się z jej mieszkańcami oraz odbyli rodzaj konferencyjnego spotkania z dziennikarzami i tutejszymi działaczami kultury.

Raz zawarte znajomości zaowocowały następnie licznymi kontaktami osobistymi (spotkania, wzajemne odwiedziny) i pośrednimi (korespondencja), stałym zainteresowaniem Hilscherów sprawami bieżącymi miasta i obecnością w czasie ważnych wydarzeń („Dni Świebodzina”, wizyty międzynarodowe). Przez pewien czas małżeństwo Hilscher myślało nawet o przeniesieniu się do Świebodzina. E. Hilschera nie opuszczał przy tym duch krytycyzmu, m.in. wówczas, kiedy wdał się w polemikę z środowiskiem ziomkowskim na temat nowych stosunków z Polską i Polakami (H.-J. Fuß). Hilscher bowiem zawsze opowiadał się za porozumieniem i był przeciwnikiem roszczeń majątkowych i terytorialnych. W związku z tym jego stosunki z tym środowiskiem, w którym znajdowali się jego szkolni znajomi, były i pozostały chłodne. W 2001 r., po ukazaniu się rocznicowej publikacji prof. J.P. Majchrzaka pt. *Suibusium felix. Epizody z 700 lat dziejów miasta Świebodzina i okolic*, rozpoczęła się długa dyskusja pisarza o wizji przeszłości i tradycji z autorem monografii, w której zresztą pomieszczony został m.in. szkic biograficzny o Hilscherze. Odpowiedzią E. Hilschera był osobny, podparty wnikliwą kwerendą literatury niemieckiej, polemiczny



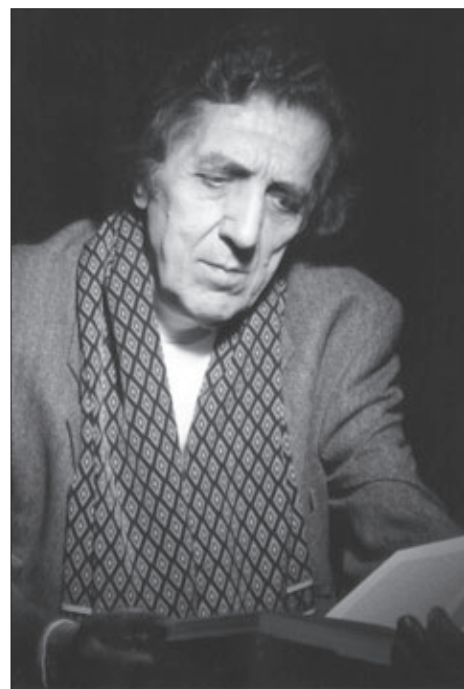
Rodzina Hilscherów w Świebodzinie (ok. 1932 r.)

artykuł pt. *Künstler aus Schwiebus. Zur 700 Jahrfeier der Stadt* w „Studiach Niemcoznawczych” z 2002 r., w którym autor odniósł się na nowo do znanych postaci pochodzących ze Świebodzina, np. muzyka Martina Agricoli, poety Christopa Kaldenbacha, poetki Anny Louisy Karsch, malarza Roberta Balcke i pisarza Bruno Travena. Wyraził również dystans do prezentacji swojej osoby w tej książce.

W 2001 r. Eberhard Hilscher zdecydował o pośmiertnym przekazaniu Świebodzinowi swojej, liczącej ponad 4 tysiące tomów, biblioteki wraz z częściowym wyposażeniem, z archiwum osobistym i rodzinnym oraz zbiorem rękopisów, wskazując muzeum regionalne jako dalszego dysponenta darowizny. Podkreślając publiczny charakter zbiorów, nawiązał w ten sposób do skromnej prezentacji jego sylwetki i osiągnięć, jaka była dotychczas udostępniana publiczności odwiedzającej muzeum w ratuszu. Współpraca z muzeum była zresztą zawsze bardzo ważna dla E. Hilschera. Tutaj szukał pierwszych informacji historycznych i archiwalnych o swojej rodzinie, szczególnie o działalności ojca, przez kilkanaście lat (do 1945 r.) społecznego opiekuna zbiorów tutejszego Heimatmuseum. Z muzeum otrzymywał również interesujące go dane na temat dziejów miasta. Z kolei sam placówkę tę, zwłaszcza jej bibliotekę, wzbogacał o cenne i rzadkie publikacje, poszukując ich w berlińskich księgarniach i antykwariatach.

Bardzo znaczący był dla E. Hilschera rok 2002, w którym Świebodzin obchodził swój 700-letni jubileusz i który nie był w zgodzie z wcześniejszą, niemiecką wykładnią początków dziejów miasta, bowiem w 1935 r. świętowano uroczystie 600-lecie Świebodzina, a jednym z promotorów tej rocznicy był ojciec pisarza – Max Hilscher. Początkowe wątpliwości Hilschera rozwiały informacje źródłowe przesyłane wraz z aneksami do Berlina i wskazanie, że faktycznie obie rocznice się w praktyce nie wykluczają. Jedna opierała się na najstarszej wzmiance o osadzie (nieznanej lub pomijanej przez ówczesną historiografię niemiecką), druga – na włączeniu miasta w strefę tzw. prawa magdeburgskiego, po zhołdowaniu Śląska przez Luksemburgów i rezygnacji Polski z roszczeń wobec jej dawnej prowincji. E. Hilscher wraz z małżonką Ute był ostatecznie przez kilka dni honorowym gościem uroczystości rocznicowych. Ukazała się wówczas również pierwsza publikacja autora w języku polskim, mianowicie skromne, ale ważne opowiadanie *Moi świebodzińscy krewni i polska dziewczyna* wraz z kilkoma wierszami, a w muzeum odbyło się spotkanie autorskie, na które przybyło wielu gości, m. in. z Niemiec.

Eberhard Hilscher, otwarty i aktywny do końca, zmagał się przez wiele lat z ciężką i nieuleczalną chorobą, która niekiedy wyłączała go z bieżącego życia na kilka miesięcy. Pomimo tego, zawsze znalazł on czas na zainteresowanie się swoim rodzinnym miastem oraz dzielił się uwagami i spostrze-



Eberhard Hilscher (2000 r.)

żeniami na temat aktualnego stanu stosunków polsko-niemieckich. Jesienią 2005 r., w obliczu pogarszającego się stanu zdrowia, wystosował do władz miasta i jego mieszkańców rodzaj przesłania, pełnego nadziei na ostateczne pojednanie polsko-niemieckie i sukces miasta. E. Hilscher zmarł w Berlinie 7 grudnia 2005 r. i jak wskazał w ostatniej woli – został 15 grudnia tegoż roku pochowany uroczysto na cmentarzu komunalnym w Świebodzinie.

Jego postać ani wcześniej, ani dziś nie wzbudza w Świebodzinie negatywnych emocji. Jest może

wręcz przeciwnie, niektórzy jeszcze wspominają nierozłączną parę Eberharda i Ute Hilscherów, spacerujących skromnie uliczkami miasta, miłych i uśmiechniętych, zawsze otwartych na kontakt z innymi ludźmi. Wydaje się, że nic nie może zakłócić dziś trwałej obecności Eberharda Hilschera w Świebodzinie, kiedy stoi tu jego nagrobek, powstaje biblioteka jego imienia, planowana jest międzynarodowa konferencja na temat jego spuścizny literackiej i trwa o nim pamięć w sercach wielu mieszkańców miasta.

JANUSZ JASIŃSKI

Generał z Olsztyna usiłuje wybielić Wehrmacht

W 2006 r. ukazała się polska edycja wspomnień oficera Wehrmachtu Gerda-Helmuta Komossy¹, urodzonego w 1924 r. w Olsztynie. Ojciec jego był kupcem, powodziło mu się całkiem nieźle, skoro już w latach dwudziestych posiadał swój samochód. W 1927 r. przeprowadził się do nowego domu w Rucianem na Mazurach.

Gerd-Helmut zgłosił się w 1942 r. na ochotnika do Wehrmachtu i od lutego następnego roku bił się z Armią Czerwoną na Ukrainie; z czasem rozkazy dowództwa rzuciły go w okolice Gdańska. Otrzymał awans na podporucznika, kilkakrotnie został odznaczony za walki na wschodnim froncie, z czego był (i jest) dumny. W 1945 r. został wzięty do niewoli (obóz w Tylży). Po 4 latach zwolniony, wyjechał do Niemiec Zachodnich. Tam zrobił karierę wojskową, został generałem Bundeswehry, obecnie jest na emeryturze. Objazdową wystawę w Niemczech z 1995 r. o zbrodniach Wehrmachtu (1941-1944) odczuł jako wielką obrazę honoru żołnierzy III Rzeszy i ona to skłoniła go do napisania wspomnień mających na celu rehabilitację ich rycerskiego etosu. Nie mam prawa mu nie wierzyć, że oświadczenie nie popełnił żadnego karygodnego czynu, ale Komossa usiłuje całościowo rehabilitować postępowanie Luftwaffe, Heer i Kriegsmarine, z czym w świetle moich osobistych wspomnień i aktualnych badań naukowych, nie mogę się zgodzić.

Jak przystało regionalnemu pamiętnikarzowi, Komossa nieco uwagi poświęcił historii Mazur. Wbrew swojej woli udowadnia, jak dalece była ona „polityką historyczną”, by posłużyć się aktualnym sformułowaniem. Urodził się – pisze – w Olsztynie na Mazurach! Zamek w Biskupcu jest dla niego zamkiem krzyżackim, w ogóle Warmia dla niego nie istnieje. Według Komossy najważniejsze na Mazurach było osadnictwo niemieckie za czasów krzyżackich, następnie salzburskie i hugenockie na lekkim podłożu staroprusko-bałtyjskim; wreszcie na ostatnim miejscu wymienia ludność z Mazowsza. Widocznie z tego powodu w jego książce nie ma najmniejszej wzmianki o gwarze mazurskiej, a przecież za jego dzieciństwa i młodości najstarsze pokolenia Mazurów nadal nią mówiły, niezależnie od posługiwania się językiem niemieckim.

Wymieniam niektóre dalsze błędy i uproszczenia. Mówi autor o „polskim korytarzu” tak, jakby to była nazwa oficjalna, a nie rewizjonistyczne wyrażenie ukute za czasów republiki weimarskiej. Należało – jeśli Komossa koniecznie chciał się nim posłużyć – napisać: tzw. polski korytarz lub „polski korytarz”. Filiponi (powinno być starowiercy) osiedlili się na Mazurach nie w XVII w., lecz w drugiej ćwierci XIX stulecia. Zamek krzyżacki w Olsztynku został wzniesiony w latach 1358-1359, a nie w XIII w. Z niejakim zadowoleniem autor oświadcza, że

w przededniu II wojny światowej granica III Rzeszy przebiegała „prawie tak samo jak przed I wojną światową”. Nieścisłość nie tak drobna, wszak Wielkopolska, część Górnego Śląska i ów nieszczęsny „polski korytarz”, czyli Pomorze Gdańskie nadal należały do Polski. Komossa nie wyjaśnia powodu, chociaż go zna, dla którego Fryderyk II po wojnie siedmioletniej gniewał się na Prusy Wschodnie. Oto dlatego, ponieważ uznał, że prowincja, składając hołd wierności carowej Elżbiecie, popełniła zdradę wobec monarchii pruskiej. Tego rodzaju mniejszych lub większych potknięć świadomych i niezamierzonych jest doprawdy dużo. W sumie jest to sentymentalne zanurzenie się w dzieje Mazur, ale niestety, ukazane w krzywym zwierciadle.

Ale i we wspomnieniach dotyczących okresu pobytu autora w gimnazjum olsztyneckim dostrzegam grzech celowego przemilczania niektórych kompromitujących faktów. Komossa krytycznie odnosi się do wyglądu jeńców polskich i przeciwstawia ich francuskim, którzy „sprawiali wrażenie bardzo zadbanych. Ich mundury były czyste, jakby świeżo wyprasowane, szczególnie mundury oficerów”. Pamiętnikarz wolał nie wspomnieć, że Francuzów traktowano o wiele lepiej niż Polaków wskutek specjalnej umowy zawartej pomiędzy III Rzeszą a kolaboracyjnym rządem Vichy. Poza tym z reguły z zachodnimi jeńcami obchodzono się lepiej. Natomiast Polaków głodzono, przy byle okazji bito, a co najgorsze z różnych błahych powodów rozstrzeliwano, np. za kradzież bochenka chleba, za rozmowę z jeńcami z sąsiedniego bloku, czy za powolny przemarsz z pracy, wynikający z fizycznego osłabienia organizmu. Czy 16-17 letni gimnazjalista, zresztą wścibski, nie wiedział o dramatycznych warunkach panujących w stalagu IB Hohenstein? Czy nikt mu o nich nie opowiadał? Byłem bardzo ciekawy, co na ten temat ma do powiedzenia. Pamiętnikarz wybrał jednak milczenie.

Przejdźmy obecnie do jego wspomnień żołnierskich. Komossa dwukrotnie był w Warszawie, raz na początku 1943 r., gdy jechał do przydzielonej mu jednostki na froncie wschodnim, a po raz drugi już po upadku powstania warszawskiego, na przełomie roku 1944 i 1945, po zburzeniu miasta. O dziwo, Warszawę w 1943 r. widział jako zwyczajne, wielkie miasto, niemal jakby nie znajdujące się pod ostrym reżimem okupacyjnym. Jego wrażenie są

nawet całkiem sympatyczne. Mówiono mu wcześniej, że „Warszawa jest bardzo niebezpieczna i że wielu niemieckich żołnierzy znalazło śmierć na ulicy, zabito ich nożem albo zastrzykiem z trucizną. Działo się tak podobno przede wszystkim wówczas, gdy żołnierz miał przy sobie broń, która była dla Polaków cennym nabytkiem” I chociaż czasem słychać było strzały, to dzięki ładnym dziewczętom, kulturze mieszkańców, Warszawa wydała mu się „całkiem normalnym, spokojnym miastem”, a Polacy nie byli „żadnymi barbarzyńcami” Mało tego, udowodnili, że „także pod niemiecką okupacją nie rozstali się ze swoją godnością”.

Narzuca się tu pytanie, czy są to rzeczywiście wspomnienia z 1943 r., czy też optyka współczesna. Bo jednak młody Komossa był indoktrynowany przez cały czas w III Rzeszy, m.in. gdy należał do Hitlerjugend. Wyraźną autocenzurę dostrzegam w jego relacji dotyczącej zburzonej Warszawy w 1944 r. Ani słowa o bohaterstwie polskiej stolicy, w ogóle nie ma wzmianki o powstaniu. Czytamy: „Warszawa wyglądała zupełnie inaczej, niż przed dziesięcioma miesiącami [pomyłka, winno być - przed 22 miesiącami]. Na ulicach widać było nielicznych tylko ludzi [...]. Od czasu do czasu wchodziłem do pustych mieszkań, które były tak duże jak w Berlinie. Wiele z nich opuszczono, większość splądrowano. W pokojach leżały poprzewracane szafy z wypróżnioną zawartością [...]. W jednej z piwnic poprzecinanej długimi rurami, siedział chłopiec, może piętnastoletni, z wielkimi wypełnionymi strachem oczami. ‘Proszę nie strzelać, proszę’ wymamrotał. Szabrownik czy Żyd? Machnąłem tylko ręką i poszedłem dalej. Biedaczko, pomyślałem, ofiara losu. Znowu na ulicy spotkałem niemieckich żołnierzy przy naszym dziele samobieżnym”. Są i inne szczegóły. Ale czytelnika polskiego uderza najbardziej brak jakiegokolwiek wzmianki o sposobie obrócenia miasta w perzynę, o wypędzeniu jego mieszkańców, o urzędowym rabowaniu dobytku, zasilającym majątek hitlerowskich Niemiec. Wstyd, chowanie głowy w piasek? Może chodzi o to, aby młode pokolenie Niemców nie dowiedziało się o powstaniu, o mordach na Woli i Ochocie, o działalności Sprengkommando? Po co w ogóle tym mało zaszczytnym „epizodem” dziejów niemieckich formacji wojskowych, wśród nich i Wehrmachtu, próbować zainteresować dzisiejsze społeczeństwo w Bundesrepublik?

Komossa bił się najpierw na Ukrainie. I znowu milczenie o zbrodniach na tym terenie. A właśnie tam generał Walter von Reichenau, niezależnie od walk z Armią Czerwoną, pacyfikował ludność cywilną, ukraińską i żydowską, podobnie postępował na Półwyspie Krymskim feldmarszałek Erich von Mannstein, a w rejonie Leningradu, Łotwy, Estonii politykę „spalonej ziemi” stosował dowódca Grupy Armii „Północ” generał v. Botha. Na Zamojszczyźnie latem 1944 r. mordował wszystkich mężczyzn w wieku 15-60 lat w ramach „akcji Sturmwind II”, generał Wilhelm Model. Niemal każdy z historyków II wojny światowej słusznie obarcza winą Wehrmacht za śmierć milionów jeńców sowieckich, jak również za przekazywanie do obozów śmierci żydowskich jeńców z armii polskiej i włoskiej.

Komossa, jako uczeń gimnazjum w Olsztynku, musiał wiedzieć, co się działo tuż za polską granicą we wrześniu 1939 r. A jeśli nie, to będąc oficerem Bundeswehry – sądzić można – wgłębiał się w całość „Feldzug in Polen”, nie tylko od strony militarnej. A działy się w Polsce rzeczy straszne, i to od 1 dnia września, by wymienić bombardowanie przez Luftwaffe otwartych miast i wsi, strzelanie do uciekającej ludności cywilnej z broni pokładowej, zabijanie jeńców wojennych oraz zakładników itd. Udowodnił to dokumentalną książką przed kilkadziesiąt laty Szymon Datner². Jego ustalenia nie uległy dezaktualizacji po dziś dzień, dzięki czemu mogli z niej korzystać historycy z Instytutu Pamięci Narodowej i z Niemieckiego Instytutu Historycznego w Warszawie, którzy opracowali objazdową wystawę o zbrodniach Wehrmachtu w 1939 r. w Polsce.³ Do Olsztyna trafiła we wrześniu–październiku 2006 r.

Komossa usiłuje podkreślać „rycerskość” wojny prowadzonej przez Wehrmacht, jednocześnie wprost twierdzi, że była to wojna obronna: „Chodziło zasadniczo o obronę własnej ojczyzny. Obrona była narodowym zadaniem, obowiązkiem każdego zdolnego do służby wojskowej mężczyzny wobec własnego narodu. [...] Także w ofensywie pojmował swą rolę zawsze jako rolę żołnierza, który służył obronie swego narodu” (s. 208). Gdziekolwiek walczył Wehrmacht – twierdzi – służył słusznym celom, czy bijąc się we Francji, w Afryce, czy w Związku Radzieckim. Wojnę z Polską pamiętnikarz pominął. Dlatego optakuje żołnierzy, którzy

pozostali „w bezkresach Rosji i w krajach byłego Związku Radzieckiego”. Jakże się myli, gdy pisze, że po przegranej wojnie „latem 1945 nie było już wśród nas, oficerów, żadnego nazisty”. Niestety, duch nazizmu istniał w Niemczech przez długie lata powojenne. Szczerze przyznaje, ale bez żalu, że ani on, ani jego koledzy, nie aprobowali zamachu na Hitlera pod Kętrzynem. Z niepokojem czytamy jego słowa, gdy etos Bundeswehry porównuje do zalet Wehrmachtu: „Niezależnie od różnego pojmowania roli żołnierza w Wehrmachcie i w Bundeswehrze, w bardzo odmiennych, wręcz nieporównywalnych warunkach, istnieje podstawowy element jednakowo wtedy i teraz pielęgnowanych cnót, takich jak wierność ojczyźnie, odwaga i dzielność, dyscyplina, skromność. Dzięki tym cnotom Niemcy żołnierze wytrzymali ponad sześć ciężkich wojennych lat”. Niewątpliwie pod pojęciem „wierność ojczyźnie” należy rozumieć m.in. posłuszne wypełnianie rozkazów, wśród nich zbrodniczych, wbrew międzynarodowemu prawu wojennemu. Właśnie z tego powodu został skazany na karę śmierci Wilhelm Keitel, naczelny dowódca Wehrmachtu. On także służył ojczyźnie, wykonywał rozkazy Führera.

Komossa broni swego życiorysu i nie tylko swojego. Tymczasem jego poglądy podziela w zupełności, co wywołuje autentyczny szok, polski redaktor wspomnień, Piotr Ferenc-Chudy. Dla wsparcia argumentów Komossy dodaje nowe, że zbrodnie wojenne popełniała także Armia Czerwona, że wskutek umowy w Monachium w sprawie sudeckiej (1938), uniemożliwiono obalenie Hitlera, że na wystawie w 1995 r., obarczającej winą Wehrmacht, dołączono fotografie z ofiarami, za śmierć których odpowiedzialne jest jednak NKWD, że wreszcie u boku zbrodniarzy niemieckich pojawiali się zbrodniarze innych narodów. Jest to żenująca obrona. Czy człowiek oskarżony o złodziejstwo może się usprawiedliwić tym, że inni też kradną? Jeśli zaś chodzi o pomyłone fotografie, to jednak nie obaliły one najważniejszego generalnego zarzutu dotyczących zbrodni wojennych Wehrmachtu. Ten punkt widzenie po gorącej dyskusji ostatecznie zwyciężył w niemieckiej opinii publicznej. Dowodzi tego m. in. przyznanie przez Bundestag w 1997 r. specjalnego odszkodowania tym żołnierzom niemieckim, którzy mieli odwagę zdezerterować lub odmówić wykonania zbrodniczych rozkazów⁴.

¹ Gerd-Helmut Komossa, *Z Mazur nad Ren. Powrót na obczyznę*. Kraków 1996, Libron, ss. 233. Tł. Renata Darda-Staab, red. naukowa Piotr Ferenc-Chudy, red. językowa Wojciech Adamek. Tytuł oryginału *Von Masuren an den Rhein. Heimkehr in die Fremde*.

² S. Datner, *55 dni Wehrmachtu w Polsce. Zbrodnie dokonane na polskiej ludności cywilnej w okresie 1. IX – 25. X 1939 r.*, Warszawa 1967.

³ *Z największą brutalnością. Zbrodnie Wehrmachtu w Polsce, wrzesień – październik 1939 r.* Wystawa przygotowana przez Biuro Edukacji Publicznej IPN, Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu i Niemiec-ki Instytut Historyczny w Warszawie. Scenariusz wystawy: Jochen Böhler, dr Paweł Kosiński, dr Piotr Łysakowski. Współpraca: Anna Piekarska, Agnieszka Ru-

dzińska, dr Rafał Wnuk. Konsultacja naukowa: prof. dr hab. Czesław Madajczyk, dr hab. Paweł Machcewicz, prof. dr hab. Klaus Ziemer. Koncepcja plastyczna: Krzysztof Burnatowicz. Redakcja: Agencja DUX. Wystawa została zaprezentowana w Olsztynie dzięki patronatowi eurodeputowanego Bogusława Rogalskiego. Zob. także J. Böhler, *Auftakt zum Vernichtungskrieg. Die Wehrmacht in Polen 1939*, Frankfurt/M 2006, ss.279. W książce tej autor nowymi źródłami potwierdza zbrodnie Wehrmachtu popełnione w 1939 r.

⁴ *Niemcy o zbrodniach Wehrmachtu. Fakty, analizy, dyskusje*. Przekład i przypisy B. i D. Lulińscy, Warszawa 1997. Obszerniejszą polemikę z Komosą opublikowałem w „Komunikatach Mazursko-Warmińskich”, 2006 nr 2, s.285-295.

DAWID GONCIARZ

Kresowiaci w Słupsku

Słupsk, leżący w północnej Polsce, w pasie środkowego wybrzeża Bałtyku, stanowi przykład pomorskiego miasta, w którym po 1945 r. tworzyła się nowa rzeczywistość społeczno-kulturowa. Żyjący tu Niemcy na skutek ogromnych przemieszczeń ludności stanowiących pokłosie rozpętanej przez faszystowskie państwo niemieckie II wojny światowej zostali w większości wysiedleni za Odrę.

Na Ziemi Odzyskane przesiedlano m.in. Polaków zamieszkujących Kresy Wschodnie II Rzeczypospolitej. W pierwszych powojennych latach Pomorze stanowiło niewątpliwie obszar przenikania się wielu kultur, zetknięcia ludzi o odmiennych poglądach, przekonaniach religijnych czy różnym statusie cywilizacyjnym, społecznym i materialnym. Na tym terenie tworzyła się nowa rzeczywistość kulturowa, w której swój udział miała polska ludność wysiedlona z Wilna i regionu wileńskiego po 1945 r. Transporty z ludnością pochodzącą z tych terenów dotarły do Słupska już w pierwszych powojennych miesiącach.

Na ziemi słupskiej osiedlały się przede wszystkim rodziny, które mieszkały w dawnych województwach: wileńskim, nowogródzkim, czy poleskim. Rządziej na te tereny trafiały osoby z województw południowo-wschodnich. „Transporty repatriantów różniły się znacznie od grup osadniczych z centralnej Polski. Jechali oni z całym dobytkiem ruchomym (inwentarzem żywym, zbożem, meblami, wozami

itp.) i mieli otrzymać na nowych ziemiach odszkodowania za mienie pozostawione za Bugiem [...] Fakt zainwestowania przywiezionego ze sobą mienia w nowo objęte gospodarstwa i warsztaty sprawiał, że repatrianci okazali się w dalszej przyszłości elementem bardziej stałym niż inne grupy osadnicze” (Z. Dulczewski).¹

Akcja przesiedleńcza, która została przeprowadzona już od początku 1945 r. została wymierzona w następujące grupy ludności:

1. Osoby, które współpracowały z organizacjami niepodległościowymi, np. prasą, partiami politycznymi;

2. Warstwę inteligentką, tj. lekarzy, nauczycieli, prawników, ziemiaństwo i szlachtę z zaścianków, zamożnych chłopów;

3. Naukowców z Wilna, którzy „od wieków promieniowali polskością na Kresy Wschodnie” (T. Gasztold);²

4. Osoby związane z akcjami zbrojnymi, członków AK, „Polaków z Mińszczyzny i Smoleńszczyzny, którzy przetrwali prześladowania stalinowskie w okresie międzywojennym” (T. Gasztold);³

5. Osoby deportowane do Związku Sowieckiego w latach 1939-1941, które po wojnie powracały z zesłania na Mazury, Warmię i Pomorze, a nie do miejsc własnego zamieszkania.

O tym, jak znaczącym dla zasiedlenia miasta Słupska w pierwszych latach powojennych było

osadnictwo ludności z Kresów Wschodnich niech świadczy fakt, iż oficjalne dane szacują ich liczbę na 11 425 osób, co stanowiło 34,5% ogółu mieszkańców miasta.

Wysiedleńcy z Wilna i Grodna podjęli ciężką próbę adaptacji w powojennym Słupsku - mieście, którego ściśle centrum zostało spalone w marcu 1945 r. przez żołnierzy radzieckich. Wyodrębniali się na tle innych osadników nie tylko ze względu na pochodzenie, czy elementy kulturowe, prezentowali bowiem określone postawy społeczno-polityczne dotyczące narodu i państwa. Patriotyzm, poczucie więzi narodowej, a także rozbudzona świadomość narodowa, tak charakterystyczna dla ludności kresowej, były głównymi pobudkami do podjęcia decyzji o migracji do Polski.

Zagospodarowanie nowych, nierzadko bardzo zniszczonych terenów, miało wymiar społeczny - było jednym z czynników „wiązanego osadników z nowym miejscem i ich stabilizacji” (Z. Dulczewski).⁴

Niewątpliwie kresowiaci charakteryzowali się wyraźną odrębnością na tle innych grup. Podobne doświadczenia historyczne, często dziedziczona tradycja szlachecka kształtowała ludzi o wyraźnej tożsamości kulturowej i narodowej. Wykazywali także największą stabilność w procesie adaptacji nowych ziem. Tadeusz Gasztold zauważył, iż kresowiaci byli życzliwie usposobieni w stosunku do Niemców, a stosunek do pozostałej ludności niemieckiej, zaowocował dobrymi kontaktami do dnia dzisiejszego i stanowi przykład „naturalnych więzi ludzkich za ‘żelazną kurtyną’” (T. Gasztold).⁵

Ludność pochodząca z Wileńszczyzny zasiedlała głównie tę część śródmieścia miasta Słupska, która nie została spalona przez Rosjan (m.in. ulice Konopnickiej, Mickiewicza). Ówczesne władze nie tworzyły sprzyjającej atmosfery do organizowania się przez tę grupę w formalne struktury oraz do uwypuklenia swojej odrębności. Kresowiaci spotykali się między sobą na gruncie rodzinnym i przyjacielskim. Były to wizyty domowe organizowane najczęściej przy okazji urodzin, imienin, świąt religijnych. Pozwalały one na kontynuowanie tradycji wyniesionych z rodzinnych stron, także na wspomnienia o utraconej „małej ojczyźnie”.

Kresowiaci wtopili się w kulturowy krajobraz Słupska, tworząc z napływającymi z innych stron Polski mieszkańcami współczesny obraz grodu nad

Słupią. Przystępowali do odbudowy miasta, piastowali różnego rodzaju stanowiska pracy, zagospodarowywali nowe obszary rozbudowywanego Słupska. Cały czas jednak u większości z nich dalej trwała pamięć o ukochanej ziemi, którą zmuszeni byli opuścić.

Przełomowy dla Polski rok 1989 i związana z tą datą transformacja ustrojowa stworzyły nowe możliwości także w sferze aktywności lokalnej. Dojrzewający wśród części kresowiaków pomysł na utworzenie własnego stowarzyszenia przyniósł konkretne efekty w pierwszej połowie 1989 r. W słupskim teatrze 13 maja 1989 r. odbył się zjazd założycielski, którego jednym z głównych organizatorów był Robert Gorczyca. Zjazd spotkał się z ogromnym zainteresowaniem ze strony kresowiaków zamieszkujących ziemie słupską – sala teatru była tłumnie wypełniona. Prezesem Towarzystwa Przyjaciół Grodna i Wilna został wybrany Marian Boratyński, wiceprezesami panie: Janina Brodzka i Maria Wołska, sekretarzem Stanisław Pakszys a skarbnikiem Jan Byczkowski. Początkowo Towarzystwo funkcjonowało jako oddział, którego główna siedziba znajdowała się w Warszawie. Po dwóch latach, tj. w 1991 r., utworzono samodzielne Towarzystwo Przyjaciół Wilna i Grodna z główną siedzibą w Słupsku.

Towarzystwo od samego początku swojego powstania rozpoczęło intensywną działalność, nie słabnącą zresztą do dzisiejszych dni. Już w pierwszym roku swojego funkcjonowania (1989 r.) zorganizowało 4 wyjazdy do Wilna. Kolejne lata przyniosły cały szereg imprez, wyjazdów, spotkań oraz działalności o charakterze charytatywnym - członkowie Towarzystwa przyjęli m.in. za swój cel opiekę nad dziećmi z Domów Dziecka na Litwie.

Działalność Towarzystwa Przyjaciół Wilna i Grodna w Słupsku wpisała się mocnym akcentem w życie społeczno-kulturalne miasta. Każdego roku w styczniu organizowane jest wigilijne spotkanie opłatkowe kresowiaków podzielone na dwie części ze względu na dużą liczbę zainteresowanych uczestnictwem. W marcu następuje wyjazd na tradycyjny jarmark wileński „Kaziuki” do Wilna - ze Słupska odjeżdża zawsze pełny autokar uczestników. Na zaproszenie Towarzystwa przyjeżdżają na występy grupy muzyczne np. Kapela Wileńska, czy zespół Wileńszczyzna. Sprowadzany jest miesięcznik „Magazyn Wileński” wydawany w Wilnie. Or-

organizowane są różnego rodzaju imprezy okolicznościowe. Do takich należą Biesiady Kresowe (Biesiada Walentynkowa, Biesiada Andrzejkowa). Imprezy te niewątpliwie integrują środowisko kresowiaków.

Sierpień jest miesiącem, w którym organizowany jest kolejny wyjazd do Wilna. W planie wycieczki ujęte są zazwyczaj spotkania z polskimi mieszkańcami tego miasta, wizyta w Ostrej Bramie, zwiedzanie miasta (m.in. Kalwaria Wileńska, cmentarz „na Rossie”) a także wyjazd do zamku w Trokach i Druskiennik.

Ważnym punktem działalności Towarzystwa Przyjaciół Wilna i Grodna jest wspomniana wcześniej pomoc dla Domów Dziecka. Udzielana jest ona trzem tego typu placówkom – dwóm w Wilnie i jednej w miejscowości Zarasai, leżącej około 150 km na północ od Wilna. Kresowiacy wożą dzieciom i młodzieży: obuwie, zabawki, słodycze, paczki świąteczne czy środki czystości. Często rzeczy te pozyskują od sponsorów, jakimi są firmy z Pomorza. Wychowankowie Domów Dziecka zapraszani są przez członków Towarzystwa i ich rodziny na wypoczynek letni, a także na święta Bożego Narodzenia i Nowy Rok. Jest to działalność do której przywiązuje się bardzo dużą wagę.

16 listopada w święto Matki Boskiej Ostrobramskiej odbywa się corocznie w kościele św. Jacka w Słupsku msza święta w której licznie uczestniczą kresowiacy. Składają w ofierze: chleb, kwiaty,

świece i wino. Podczas uroczystej mszy koncertuje Chór Pomorskiej Akademii Pedagogicznej oraz Zespół Muzyki Dawnej.

Koniec roku to tradycyjna biesiada Andrzejkowa oraz spotkanie wigilijne organizowane przed świętami; w ostatnim takim spotkaniu (2006 r.) uczestniczyło 120 osób.

W 2006 r. zarząd Towarzystwa zwrócił się do Prezydenta Miasta Słupska z oficjalnym pismem, w którym przypomniał o mijającej właśnie 60 rocznicy zamieszkania na ziemi słupskiej wygnanych z ziemi rodzinnej kresowiaków. W związku z tym zwrócił się o przyznanie godnego miejsca pod upamiętniający to wydarzenie obelisk. W dniu 4 listopada 2006 r. odbyło się uroczyste odsłonięcie i poświęcenie kamienia pamiątkowego w leżącym nieopodal słupskiego ratusza Parku Jerzego Waldorffa. Do ważącego kilkanaście ton gładz narzutowego osadzonego na marmurowym fundamencie wkomponowano pamiątkowa płytę z napisem: „W HOŁDZIE KRESOWIAKOM, OD WILNA PO LWÓW, KTÓRZY W SŁUPSKU ZNALEŻLI SWÓJ DRUGI DOM, A WIELU TAKŻE KRES OSTATECZNY – SPOŁECZEŃSTWO MIASTA SŁUPSKA 2006”.

Uroczystość rozpoczęła się od wybicia godziny dwunastej na zegarze Ratusza Miejskiego, następnie orkiestra w strojach Księstwa Warszawskiego zagrała hymn narodowy. Wystąpiły poczty sztandarowe miasta Słupska, Towarzystwa Przyjaciół Wil-



Spotkanie wigilijne kresowiaków 2006 r. (fot. K.Skołysz)



Pamiątkowa tablica poświęcona kresowiakom (fot.K.Skołysz)

na i Grodna oraz Związku Sybiraków. Losy kresowiaków przybyłych z obszarów od Wilna po Lwów na ziemię słupską przedstawił w swoim wystąpieniu prezes Towarzystwa Marian Boratyński. Następnie Prezydent Słupska M. Kobyliński jako fundator tablicy wygłosił okolicznościowe przemówienie oraz dokonał jej uroczystego odsłonięcia. Poświęcenia dokonał zaproszony na uroczystość Ordynariusz Diecezji Koszalińsko-Kołobrzeskiej ks. biskup K. Nycz. Podczas uroczystości wystąpił Chór Związku Nauczycielstwa Polskiego oraz orkiestra „Reduta”. Złożono liczne wiązanki kwiatów oraz zapalono znicze pamięci.

Na tablicy znajduje się wizerunek Matki Boskiej Ostrobramskiej – wiele osób przechodząc obok staje i w milczeniu pogrąża się w zadumie i modlitwie. Warto dodać, iż 17 stycznia 2007 r. w rocznicę śmierci Czesława Niemena pochodzącego z Kresów, grupa fanów zapaliła znicze i postawiła fotografię tego wybitnego artysty.

Odsłonięcie tablicy poświęconej kresowiakom było bardzo istotnym wydarzeniem w najnowszych dziejach miasta Słupska. Stanowi ona swoistego rodzaju znak, szczególnie dla młodego pokolenia Słupszczyzan. Ukazuje wielokulturowość tego środkowopomorskiego miasta i zmusza do refleksji nad własnymi korzeniami.

Materialne dziedzictwo ludności wysiedlonej z Kresów gromadzi Muzeum Pomorza Środkowego w Słupsku. W zbiorach tej instytucji kultury znajduje się wiele zabytkowych eksponatów przywiezionych przez tę ludność. Szczególną rolę odegrał Dział Etnograficzny MPŚ, który od początków swojego funkcjonowania, czyli od lat sześćdziesiątych XX w. prowadził intensywne badania terenowe celem pozyskiwania eksponatów i powiększenia kolekcji zbiorów etnograficznych. Mimo, iż władzom PRL zależało głównie na dokumentowaniu śladów słowiańskości na Ziemiach Odzyskanych (zwłaszcza w latach sześćdziesiątych XX w. obchodzonych jako milenijne w związku z przypadającym na 1966 r. tysiącleciem państwa polskiego), to Dział Etnograficzny pozyskał także wiele eksponatów od mieszkańców przesiedlonych z rejonu Wileńszczyzny. Zbiory wzbogaciły się m.in. o kufry i skrzynie wileńskie, narzuty, szmaciaki, samowar.

W okresie sierpień - listopad 2001 r. Dział Etnograficzny MPŚ zorganizował wystawę pt. „Znad Wilii i Niemna”, która była wyjątkowa z powodu eksponatów, jakie się na niej znalazły. Wszystkie pochodziły ze zbiorów prywatnych kresowiaków przesiedlonych w okolice Słupska i Ustki po 1945 r. Ludzie pięknie odpowiedzieli na apel muzealników o przy-



Zdjęcie Czesława Niemena w 3 rocznicę śmierci ustawione przez fanów (fot.K.Skołysz)

noszenie na wystawę pamiątek rodzinnych. Udało się zebrać wiele obrazów, portretów rodzinnych, samowarów, sztućców, bieżników, narzut, planów starego Wilna i ziemi wileńskiej, dokumentów urzędowych i rodzinnych, kart ewakuacyjnych, czy starych albumów fotograficznych i pocztówek. Starsi ludzie, którzy przekazywali eksponaty na wystawę byli dumni, że mogą prezentować swoje pamiątki. Zwracali uwagę, iż często ich własne dzieci lub wnuki nie interesowały się tymi rzeczami, a teraz będą one na wystawie w muzeum. Była to dla nich swoistego rodzaju nobilitacja.

Bardzo duża ilość eksponatów muzealnych jest prezentowana do dnia dzisiejszego na II kondygnacji Młyna Zamkowego MPŚ, gdzie po zmianie aranżacji jest wydzielone miejsce wystawiennicze ukazujące kulturę kresowiaków przybyłych na ziemię słupską.

Towarzystwu Przyjaciół Wilna i Grodna z siedzibą w Słupsku udało się zintegrować przez prawie 18 lat swojego istnienia wielu kresowiaków zamieszkujących to pomorskie miasto. Tyle też lat prezesem pozostaje Marian Boratyński, a liczba członków na początku 2007 r. wynosiła 756 osób. Jest jednym z najprężniej działających dzięki zaan-

gażowaniu wielu ludzi, dla których propagowanie swoich korzeni jest istotnym czynnikiem utrwalania własnej tożsamości kulturowej. Ta tożsamość pozwala zarazem na zrozumienie skomplikowanych losów ludności przybywającej na Pomorze po 1945 r. Kresowiaci wpisali się w społeczno-kulturowe oblicze miasta istotnie zaznaczając swoją obecność m.in. szeregiem organizowanych przez własne środowisko przedsięwzięć. Ludzie skupieni wokół Towarzystwa tworzą żywy przekaz kulturowy poprzez swoją aktywność. Jeśli dodamy do tego gromadzenie ich materialnej obecności na tym terenie przez pracowników Muzeum Pomorza Środkowego to uzyskujemy w miarę pełny i całościowy obraz już ponad sześćdziesięcioletniej obecności kresowiaków na ziemi słupskiej.

1 Z. Dulczewski, *Nowe społeczeństwo na Pomorzu Zachodnim*, w: A.Kwilecki (red.), *Ziemie Zachodnie w polskiej literaturze socjologicznej*, Poznań 1970, s.392.

2 T. Gasztold, *Przesiedleńcy z Kresów Północno-Wschodnich Drugiej Rzeczypospolitej*, w: A.Sakson (red.), *Pomorze – trudna ojczyzna?*, Poznań 1996, s.322.

3 Ibidem

4 Z. Dulczewski, *Społeczne aspekty migracji na Ziemiach Zachodnich*, Poznań 1964, s.114.

5 T. Gasztold, *Przesiedleńcy z Kresów...*op.cit. s.328.

JAN MUSZYŃSKI

Z pamiętnika mojej mamy

Mój pradziadek, wraz z rodziną, całe życie zamieszkiwał na ziemi babimojskiej, dziadkowie w państwie pruskim, ale od 1918 r. już w kraju ojczystym, zaś od roku 1939 w Kraju Warty, jak hitlerowcy nazwali ziemię wielkopolską włączoną do III Rzeszy.

Rodzice żyli w czasach pruskich, ale po Powstaniu Wielkopolskim z pogranicza przenieśli się do Gniezna, gdzie moja mama urodziła mnie i dwie moje siostry. W 1939 r. Niemcy wywieźli nas do Generalnego Gubernatorstwa. Moje szczęśliwe dzieciństwo przypadło na czas okupacji w Piotrkowie Trybunalskim, bez prawa opuszczenia tego miasta, pod karą śmierci. W roku 1945 prawo to przestało obo-

wiązywać i ponownie znaleźliśmy się w pierwszej stolicy naszego kraju. Mój ojciec, mama i starsza siostra, nie przeżyli Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Nawet po sen ostateczny nie przypuszczali, że ten ustrój można zmienić. Z tej rodziny pozostała tylko moja młodsza siostra, która podobnie jak ja zamieniła rodzinne Gniezno na Zieloną Górę. Historia okazała się dla nas łaskawa, zatoczyła koło i my urodzeni w okresie kapitalizmu chyba pomrzemy w tym samym ustroju, po doświadczeniach, których nawet wrogowi nie powinno się życzyć.

Moja rodzina nie żyła historią. Nawet nie wiem, czy poza wiedzą, że Prusak to wróg, zdawano sobie sprawę, że Wielkopolska w obrębie tego pań-

stwa znalazła się dopiero po drugim rozbiore w 1793 r. Z pozycji Chobienic, Iwna czy Sannik, Prusy to były całe Niemcy. Egzystencja uzależniona była od przestrzegania prawa, głębokiej wiary, pracy przy hodowli koni i uprawy roli. Dyspozycyjność moich dziadków, wobec Jaśnie Państwa Mielżyńskich była częścią ich świadomości i pozostawała poza sferą jakiegokolwiek dyskusji.

Historia rodziny to zrzącenie losu, który wpływał w liczne wojny. Pradziadek, jak twierdzono w rodzinie, był na trzech wojnach, które toczyli Prusacy, duńskiej w 1864 r., austriackiej w 1866 r. i francuskiej w 1870 r. Dziadek bił się w pierwszej wojnie światowej, a potem podobnie jak mój ojciec, brał udział w czynie zbrojnym Powstania Wielkopolskiego. Ojciec ponownie walczył z Niemcami w 1939 r.

Jak tylko przeżyłem okupację, w Gnieźnie wpadłem w „złe” harcerskie towarzystwo i zbyt szybko chciałem do Europy, bez zezwolenia, właściwych dokumentów i przekraczając granice nie w tym miejscu. Odsiedziałem swoje w WW2 (Wrocław, Więzienie nr 2, ul. Sądowa).

Poznański Czerwiec zapamiętałem na całe życie. W wydarzeniach tych brałem udział, jako przerażony, ale aktywny uczestnik; był to również miesiąc w którym broniłem pracy magisterskiej na kierunku Historii Sztuki Uniwersytetu im. A. Mickiewicza. To był czas strachu, ale i nadziei na odmianną polityczną. Z taką świadomością rozpocząłem prace w Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w komórce konserwatorskiej. Wkrótce także u Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków pracę podjął kolega ze studiów Stanisław Kowalski, który aż po emeryturę związał się z ochroną zabytków. Ta przyjaźń była i jest bardzo ważna. Na studiach były same kobiety i tylko my dwaj, co nas bardzo scementowało.

Nasze intensywne życie zawodowe w Zielonej Górze przypadło na czas narad, posiedzeń, odpraw a nawet prasówek prowadzonych obowiązkowo do końca lat pięćdziesiątych. Ponieważ te „nasiadówki” były ostentacyjne lekceważone, wyrobiłem w sobie odruch obronny, który zmienił się w nawyk rysowania na każdym prawie posiedzeniu. I to właśnie mi pozostało po dzień dzisiejszy.

W roku 1962 w wyniku partyjnej „propozycji nie do odrzucenia”, przeszedłem z funkcji Wojewódz-

kiego Konserwatora Zabytków do pracy w Lubuskim Towarzystwie Kultury na stanowisko organizatora Lubuskiego Towarzystwa Naukowego (powstało w 1964 r.).

W latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych przyjeżdżał do Lubuskiego Towarzystwa Naukowego prof. Andrzej Kwilecki. Podczas jego wykładu w Komisji Socjologii, robiłem rysunek dotyczący metodologiczno-teoretycznego podejścia do struktury społecznej w aglomeracji miejskiej. Uczony siedzi na słupie wysokiego napięcia, bez możliwości zejścia i przy pomocy lornetki bada uwijającą się na dole wspólnotę społeczną mieszkańców. Profesor powiedział mi, że przedłużył wykład abym mógł zakończyć rysunek.

Te spotkania, jak i ciepły stosunek Profesora do mieszkańców Ziemi Lubuskiej, zrodziło u mnie potrzebę poszukiwania swojej tożsamości i wpisania się w ten „etniczny tygiel”. Tym bardziej, że na początku nie myślałem, że tutaj pozostanę na stałe. Nawet wykupiłem sobie miejsce na cmentarzu, do



Agnieszka i Stanisław Muszyńscy pocz. lat 30.



Portierka w której mieszkali dziadkowie, Teresa i Józef Kinalowie, Iwno

roku 2015 w Gnieźnie, w grobie gdzie został pochowany mój ojciec i moja starsza siostra, ale moja młodsza siostra po śmierci mamy, która została pochowana w Zielonej Górze, sprowadziła prochy ojca i siostry do wspólnej mogiły, czyniąc mnie kustoszem grobów rodzinnych.

W latach siedemdziesiątych, limuzyną marki trabant, budząc powszechne zaciekawienie, w które dzisiaj trudno uwierzyć, objechałem z moją mamą miejsca, które pamiętała z okresu swojego dzieciństwa. Trasę wyznaczały miejscowości w których mama znajdowała swoich znajomych: Babimost, Chobienice, Wolsztyn, Dakowe Mokre, Iwno i Senniki. Potem uprosiłem mamę, aby napisała dla mnie pamiętnik z czasów swojej młodości. Zostałem szczęśliwie obdarzony tym zapisem. Bez wielkich słów, zapis służącej, po pruskiej szkółce, bez chęci zaistnienia w literaturze, ale dający świadectwo lojalności poddanych ziemiaństwu wielkopolskiemu. To zadecydowało ostatecznie, że pokonałem poczucie prywaty i przeznaczyłem fragmenty pamiętnika mojej mamy do druku.

Dnia 5 lipca 1982 moja mama napisała:

„Urodziłam się 29 marca 1904 roku... mam już 78. lat. Jestem już starą kobieta. Ale wydaje mi się, że te lata szybko minęły... Dzieciństwo moje zaczynało się w Iwnie. Jest to duża i ładna wieś. Jest w niej pałac, czyli mieszkanie hrabstwa Mielżyńskich...

Pałac był wybudowany w parku. Ten park był pięknie zagospodarowany. Pałac miał jak gdyby dwa fronty. Od parku były schody... jak by na jedno pię-

tro... po bokach filary wysokie... z drugiej strony był tam szeroki taras stale używany. Czy jak goście przyjechali, czy jakie uroczystości to tam się wszystko odbywało... w środku był duży hol... tam były różne obrazy... jeden pamiętam, był to obraz większy jak drzwi. Przy stole siedzieli panowie z długimi włosami w kapeluszach i grali w karty a za jednym stał diabeł z rogami i coś pokazywał na palcach jednemu z tych co grali. Obraz był w kolorze ciemnym, były też inne obrazy... stało pianino i różne fotele głębokie. Do góry były salony, czerwony, niebieski i różowy. Ja dużo tych pokoi znam... Ten różowy to był pani hrabiny. Hrabina miała swoją sypialnię, swój buduar, swoją pannę służącą, która była na jej usługi. Rano już czekała na korytarzu przed drzwiami, żeby być na dzwonek do usług. Hrabia miał osobną sypialnię i też służącego do swojej dyspozycji. Był to chłopak może 18 lat, syn stangreta... ożenił się z panną, którą mu pan hrabia wskazał. Ale chyba się kochali... była ładna dziewczyna, imię miała Rozalia. Ona mnie lubiła i ja ją też... raz widziałam jak ją hrabia szczypał po policzkach i w kącie obmacywał ale udałam, że nie widzę i nikomu nic nie mówiłam...

Do pałacu przybudowana była oranżeria. Mieli tam piękne palmy i merta to była jak drzewo. W tej oranżerii mieli piękne kwiaty takie jak teraz do kościoła na Wielkanoc noszą. Przed pałacem był duży klomb obsadzony różami... a na wojnie w 1914 hrabina kazała nasadzić tam czerwonych buraków... Hrabina zorganizowała taki kurs, uczyła nas o Polsce, historii



Pałac Mielżyńskich w Iwnie, widok współczesny

i różnych wierszy...szyli my dla siebie spódnice takie wiejskie, materiał kupowała sama, nie wiem czyśmy to odpracowali, ale chyba nie...W wojnę w 1914 roku sprowadziła dla całej wsi buty i sama też jedną parę nosiła...Całą gospodynią w Iwnie to była hrabina, hrabia stale jeździł do Poznania.

Z drugiej strony parku wychodziło się znowu do jeziora. Tam była lodziarnia, czyli taka wielka piwnica okryta ziemią, że nawet krzaki i małe drzewka na niej rosły. Tam zimą nawozili lodu, że starczyło na całe lato...Od drugiej strony parku były zabudowania, myśmy to nazywali oficyny...Pamiętam, chodziłam z hrabiną tam po cukier, który był w olbrzymich skrzynkach, miód pszczeli, kiełbasy, suszone grzyby, różne zaprawy te, co w pałacu się nie mieściły albo nie mogły tam być. W tym cukrze to było pełno mrówek...raz zobaczyłam tam szczura, nie mógł wyjść, bo beczka tylko do połowy była wypełniona pszenicą. Ja zawałam psa pani hrabiny i go do tej beczki wsadziłam...zagryzł szczura, który tak był obżarty tą pszenicą, że był gruby jak żaba. Pies ze szczurem wyskoczył i uciekł do parku. Ja myślałam, że zrobiłam dobrze i się pani hrabinie pochwaliłam, że Szwypś zagryzł szczura a ona na mnie krzyczała jak mogłam jej psa na szczura puścić. Miałam go sama zabić i zakopać.

Ja z hrabiną chodziłam po ten cukier bo hrabina obawiała się, że zostanie okradzona... Hrabina jak miała dobry humor to odzywała się przyjaźnie do mnie. Powiedziała:- "Cukier trzeba oszczędzać, gdyż będzie jeszcze droższy". „Dlaczego przecież rośnie tyle cukrówki?”[buraki cukrowe J.M.] - zapytałam.

„Bo robotnik jest za drogi, ale przyjdzie jeszcze czas, że będą pracowali za jedną cebulę”. Gdy miałam 18 lat przez rok byłam w pałacu jako elewka uczyć się gotować. Jedzenie hrabstwo to mieli raczej skromne, prawie wciąż równe. Hrabia często mówił przy obiedzie, że jedzenie jest kiepskie.- „Mój stangret żre lepiej” - tak krzyczał...W piwnicy wisały całe nogi wołowe, połowa cielaka, skopy czasem całe. To jak się zaczęło psuć i śmierdzieć...to całe kupy mięsa nosiłam do jeziora dla ryb. To jak wrzuciłam i się chwilę postało to już do tego mięsa przyplływały ryby, takie półkilowe karpie albo może większe. Hrabstwo nie pozwolili się w tej wodzie kąpać. Gdy raz mój brat wykąpał psa to hrabina z taką złością przyleciała i powiedziała, że jak jeszcze raz zobaczę, że w moim stawie kąpiecie psa to go każę zastrzelić. Hrabina zła aż czerwona a tego psa sami pożyczali jak polowali na kaczki, to on żeby kaczka wpadła na środek jeziora to popłynął i zawsze przyniósł...nazywał się Moroł...Jak chłopaki w szkole się pokłócili z moimi braćmi to też ich nazywali; - „ty Morole”. Jak polowali na kaczki to hrabina go sobie pożyczowała. Kiedyś brat Stefan, już był duży chłopiec, jak zaprowadził psa, to kazała mu wchodzić pod pas w wodę i żeby jej nagał kaczki, kiedy nie nagał jej żadnej to uderzyła go w twarz. Bardzo to jej pamiętał. W czasie jak ojciec był na wojnie 1914 roku to go zastrzelił taki leśniczy, który koniecznie chciał tego psa od ojca kupić, to mu ojciec powiedział, że wolałby mu krowę sprzedać jak tego psa. Był to pies polownik, czarny z falowaną sierścią jak najładniejsza ondulacja.

W szkole pierwszy rok uczyliśmy się po polsku. Rano gdy wszedł nauczyciel to wszyscy wstali i : - "Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus". ..pisaliśmy na tabliczkach rysikiem. Tabliczki musiały być czyste i ramka wyszorowana. Z jednej strony były linie do pisania a z drugiej kratka do rachunków. W szkole musieliśmy siedzieć cicho po czterech w jednej ławce. Z jednej strony byli chłopcy z drugiej dziewczęta a w środku ganek...Nauczyciel nazywał się Kunicki, bardzo ponury bez uśmiechu. Stale się kłócił ze swoją żoną, potem mścił się na dzieciach... Po nim przyszedł młody nauczyciel, nazywał się Podlak, on dostawał często, myśmy to nazywali wielką chorobą. Jak dostał atak to my wszyscy uciekli ze szkoły...Starsze chłopaki to już się nie pozwolili bić. Nauczyciele bili za naukę, za błędy, za posłuszeństwo... Przed szkołą był duży plac ogrodzony drewnianymi sztachetkami...były ubikacje osobne dla dziewcząt, osobne dla chłopców... Raz spadł samolot, może kilometr od szkoły. To myśmy poszli z nauczycielem oglądać... nazywali my to aeroplan. Na drugi dzień robiliśmy z tego wypracowanie.

Wysłałam ze szkoły w roku 1918. Świadcetwo było po niemiecku... dobrze się uczyłam ale byłam pyśkata. Powiedziałam nauczycielowi, że nie chcę świadectwa bo będzie Polska to nie będzie potrzebne...to mi nauczyciel powiedział, że jak będę potrzebować świadectwo szkolne to muszę kupić za 50 fenigów, ale że jestem frechowna to muszę dać 1 markę. Inny nauczyciel nazywał się Ferdynand Brand. On już patrzył za takimi starszymi dziewczynkami...

Jest tam w Iwnie bardzo ładny zbudowany w formie krzyża kościół, jest do dziś taki jak był dawniej. Po wojnie w 18 roku to hrabia przychodził do kościoła zawsze jako wojskowy. Pamiętam, że miał czapkę z takim pióropuszem, to ją tak nosił w kościele jak świętą. Później chodził już w zwykłym ubraniu... Ksiądz zawsze czekał z nabożeństwem aż przyszli, przeważnie wiele się nie spóźniali. Hrabia z hrabiną do kościoła w niedzielę chodzili, mieli specjalną ławkę pięknie rzeźbioną wyściełaną czerwonym aksamitem, po prawej stronie ołtarza. Po mszy przy ołtarzu całowali krzyż. Z kościoła wychodzili pierwsi, za nimi ludzie. Oni stanęli przed kościołem. I ci co wychodzili z kościoła pchali się

do nich tłoczyli, żeby hrabstwo przywitać przez pocałowanie w rękę. Starsze kobiety to nawet hrabiego całowali po rękach. Starsi ludzie, babcie dziadkowie kłaniali się czapkami aż do ziemi. Gdy już państwo odeszli to z kościoła wychodzili ci, co albo dłużej się modlili albo nie chcieli się witać z państwem. Zauważyli, że jak przeszedł i się nie przywitał to przy okazji powiedzieli, że nie przyszedł się przywitać.

Mieszkaliśmy w Iwnie w pięknym domu. Nazywał się portyjerka dla tego, że stał przy bramie, która była wyjściem do parku. Brama była żelazna, przeszło dwa metry wysoka, po bokach były dwa wielkie filary, na wierzchu duża kula. Dom ten jeszcze w Iwnie stoi, był w formie jak by kaplicy...okrągłe okna na dole, była duża sień i duży pokój z dużą wnęką, co nadawało mu tę formę, była kuchnia podłużna, raczej wąska, duży piec...i schody na piętro, tam były dwa pokoje, jeden nad tą wnęką a drugi od frontu. W tym jednym pokoju ja mieszkałam, raczej spałam z babcią, bo to był pokój babci, myśmy mówili babusia... Ten pokój był od strony parku, jak my otworzyli okno to gałęzie kasztanów sięgały do okna. A ptaszki jak tam pięknie śpiewały, teraz nie słyszy się tych śpiewów. Wieczorem w maju to słowiki...Takie to były uroki parku i wsi, dopiero teraz na stare lata to człowiek ceni.

Do Chorzątek to my się przeprowadzili jak ja miałam 8 lub 10 lat, po wojnie i po powstaniu w Poznaniu. Ojciec dostał duży rewir i się musieliśmy przeprowadzić. Chorzątki to był jeden tylko dom, bo podczas burzy wieś się spaliła. Ludzie mówili i tak pewno była prawda, że to było podpalenie. Bo rodziny się wszystkie wyprowadziły do innych wsi, budynki były puste, my jako dzieci często żeśmy tam latali po tych pustych domach. Pamiętam jak była silna burza, dawniej zawsze były silne burze, a myśmy z babcią i mamą klęczeli przy łóżku i się modlili. A ojciec nasz wszedł do pokoju w skórzanym płaszczu i kapeluszu, zmoknięty aż ciekło na podłogę i powiedział:- "No już Chorzątki się palą". To jak trochę przestało padać wyszliśmy to sobie przypominam i nie zapomnę tego jak ogień na szerokość ...szosy szedł, aż mi się zdawało, że pod chmurą. Od tego czasu bardzo się bałam burzy i mówiłam nie raz, żeby wciąż była zima. W Chorzątkach mieliśmy cały dom pod słomą i całe zabudowania pod

strzechą, a były, dom, stodoła, szopa do drzewa, zwingier dla psów i duży chlew, taki jak dom, studnia kręcona na łańcuch, kawałek ogródka, szopki dla kurcząt i to wszystko co opisałam tak kolejno to było w jednym kole, jeszcze była brama szeroka i na przeciw, trochę z boku wyjazd na łąkę a w środku podwórza mała sadzawka dla kaczek. Po paru latach wyprowadziliśmy się do Sannik. Była to taka średnia wieś, przemysłu tam nie było. Było tylko duże podwórze...zawiadywał tam zawsze agronom. Mieli tam kuźnię i zakład kołodziejski i suszarnie do zboża i dosyć dużą stadninę żrebacków. Kołodziejem tam był Józef Muszyński, mój przyszły teść, ojciec mojego męża. Ludzie pracowali na tak zwanym zaciągu...Później hrabia sprzedał Sanniki

jednemu Niemcowi, to las został dołączony do Iwna i Chorzałek, czyli lasu nie sprzedał. Przed wojną w 1937 roku zaczął się o te Sanniki starać jeden kupiec z Gniezna, Groblewski, miał duży sklep konfekcyjny na ulicy Chrobrego. Niemcowi zostało jeszcze dwa lata do końca dzierżawy. Zarzucili mu, że ma pole zachwaszczone i wyprocesowali przez sąd te dwa lata. Wkrótce potem wybuchła wojna 1939 roku. I zaraz na początku przyszło gestapo do Sannik do Groblewskiego i został aresztowany po zarzucie, że znaleźli u niego broń. Mówili ludzie, że Niemcy sami postawili karabin za drzwi i to był powód. Groblewski został rozstrzelany w Kostrzynie na rynku..."

WACŁAW NYCZ

W sprawie Nietoperka. List do „Siedliska”

Nietoperek, dnia 15.02.2007 r.

W nawiązaniu do artykułu „Kamienna alejka w Nietoperku koło Międzyrzecza” autorstwa St. Dyroffa zamieszczonego w Waszym piśmie „Siedlisko” nr 2/2006 pragnę wskazać na kilka nieprawidłowości, które tenże autor aplikuje nam już na samym wstępie. Píše, że „ewidentnie mamy tu do czynienia z przypadkiem braku znajomości historii przez władze lokalne oraz braku konsultacji z historykami...”. Są to stwierdzenia nieprawdziwe.

Informacje te są też spóźnione co najmniej o 3 lata. Oskarżenie naszych władz lokalnych o brak znajomości swej historii, tu na Ziemi Międzyrzeckiej, jest bezpodstawne. A insynuacja, że „nikt z miejscowych nic nie wie na temat wieży Bismarcka” nie znajduje potwierdzenia.

Zamiar przewiezienia kamiennych głazów z miejsca zburzonej wieży do Nietoperka był konsultowany przeze mnie w kilku miejscach ... i tam uzyskałem ciche poparcie. Zwłaszcza, że zaczęły one pojedynczo znikać.

Historię budowy wieży Bismarcka, przedstawienie samej osoby Otto Bismarcka oraz opis kamiennych głazów zamieściłem w sposób wystarczający

już w miesiącu sierpniu 2003 roku w gazecie regionalnej „Powiatowa” nr 8/2003. W 2005 r. w wydanej monografii wsi „Nietoperek stare i nowe dzieje” sprawie kamiennych głazów z wieży Bismarcka poświęciłem specjalny rozdział.

W sierpniu 2005 w „Powiatowej” ukazał się artykuł historyka regionalisty p. Zb. Czarnucha pt. „Nietoperkowe myśli o kulturze i naturze”. 25 listopada 2005 r. w „Gazecie Lubuskiej” drukowany był artykuł D. Brożka „Ekspozyty z granitu”. Wreszcie o wieży Bismarcka mówiłem w audycji radia Zachód „Sołtys księgę pisze” (red.C. Galek). Udzieliłem też krótkiego wywiadu w telewizji lubuskiej.

Przedstawiając to wszystko powyżej (patrz załączniki!) uważam, że nasza lokalna społeczność została w pełni o tym przedsięwzięciu poinformowana. A młodzi mieszkańcy Nietoperka z dużym zapałem przewieźli kamienne głazy do swojej wsi. Był tylko jeden głos sprzeciwu. Jeden mieszkaniec głośno mówił: „Ludzie co wy robicie!? Czy wy wiecie, kto to był Bismarck?”. Prawdą jest, że miałem przez chwilę wątpliwość czy my rzeczywiście dobrze robimy, ale przecież na żadnym z tych kamieni nie było wyryte nazwisko Bismarck. Tak więc nie mogło tu być mowy o bezmyślnej gloryfikacji oso-

by Bismarcka tak znienawidzonego przez Polaków. Ujrzelismy napisy wyryte na głazach, częściowo już nam znane, były to niemieckie nazwy okolicznych miejscowości. Inne napisy przeczytaliśmy i przetłumaczyliśmy dopiero po pewnym czasie. Wtedy to dowiedzieliśmy się, że są to kamienie fundacyjne z inskrypcjami darczyńców a budowę wieży finansowały stowarzyszenia kombatanckie, związki strzeleckie i społeczności poszczególnych miejscowości oraz osoby indywidualne.

Sprawą kamiennych głazów zainteresował się historyk Zb. Czarnuch, który w swym artykule „Nietoperkowe myśli o kulturze i naturze” m.in. napisał, że: „Tutaj te kamienie pomogą opowiedzieć jak Prusacy przygotowywali swą zgubę przez pokolenia pielęgnujące militarystykę swego państwa.

Większość tych kamieni ufundowały stowarzyszenia weteranów wojny z Francją z roku 1870, które pokonały Prusy pod politycznym przywództwem Otto Bismarcka”. W hołdzie „żelaznemu” kanclerzowi zaczęto stawiać pomniki i budować mniej lub bardziej okazałe wieże. „Umacniały one dumę z potęgi Prus i jej podbojów. Kult Bismarcka utorował drogę kultowi Hitlera a duma z siły pruskiej armii, kultywowana była w każdej prawie wsi, o czym tak dobitnie mówią kamienie z Nietoperka...”. I dalej: «Kamienie z nietoperkowego lapidarium, zwłaszcza te z wykutymi nazwami fundatorów wieży Bismarcka, wpisują się w logiczny ciąg zdarzeń łączących wieżę z podziemiami Międzyrzeckiego Rejonu Umocnionego i skutkami wiązania kulturowej tożsamości narodu z militarystyką. Po zwiedzeniu lapidarium byliśmy zgodni, że zgromadzone w nim zabytki, tu w rejonie słynnych pancerników połączonych ongi podziemną kolejką, znakomicie wyrażają przesłanie dziejów tej ziemi: że miłość do stron ojczystych wyrażana ubóstwieniem własnego narodu i pogardą wobec innych taki musiała znaleźć koniec”.

Tu „na dole” żywo na sercu leży nam zatroskanie o odkrywanie i ukazywanie polskości tych ziem, ale też i nieakceptowanie bezmyślnego niszczenia śladów innych kultur ludności, która tu kiedyś zamieszkiwała. Tych śladów nie da się zatrzeć całkowicie. Możemy się domyślić jaki jest społeczny odbiór ustawionych w Nietoperku kamieni, szczególnie przez Niemców – dawnych mieszkańców Ziemi Międzyrzeckiej. Bo przecież my też, wy-

jeżdżając na wschód, na kresy II Rzeczypospolitej (ziemie naszych ojców) szukamy śladów polskości.

Zainteresowanie kamieniami wzrasta. Nietoperk odwiedza coraz więcej turystów polskich i niemieckich.

Po zapoznaniu się z art. J. Skoczylasa „Lapidarium w Poznaniu” zamieszczonego w „Spotkaniach z zabytkami” nr 1/2004, po zwiedzeniu Witnickiego Parku Drogowskazów oraz po zobaczeniu eksponatów kamiennych w skwierzyńskiej placówce drogowej podległej Generalnej Dyrekcji Dróg Krajowych i Autostrad, podjęliśmy decyzję o stworzeniu lapidarium w Nietoperku. Dzisiaj kamienne głazy z rozebranej wieży Bismarcka nie są jedynymi eksponatami w tym lapidarium. Co roku przybywa parę nowych kamiennych głazów.

Są tu kamienie graniczne z polsko-niemieckiej granicy państwowej (z literą P i D). Są kamienne słupki graniczne działek, kamienne drogowskazy oraz koło młyńskie z rozebranego wiatraka z Kęszycy. Ustawione one zostały na początku ścieżki historyczno-przyrodniczej w pobliżu stacji chiropeterologicznej, którą tak licznie odwiedza młodzież szkolna uczestnicząca w wykładach na temat nietoperzy.

Samo lapidarium usytuowane jest w środku wsi w pobliżu stawu wiejskiego wokół którego na pozyskanym placu ma być budowana świetlica wiejska (ale czy będzie?). W planach mieliśmy zakończenie tej kamiennej alejki zwałowiskiem żelbetowego gruzu z bunkrów i kawałkiem rozerwanej kilkunetonowej metalowej kopuły z pancerniku. Miało to nadać tej alejce zrozumiałą wymowę. Są to jednak duże wydatki. Miała tam również zostać ustawiona tablica informacyjna z opisem poszczególnych kamieni. Ten brak słusznie zauważył p. St. Dyroff. W nawale społecznych prac na rzecz sołectwa, niestety niektórym zadaniom nie sprostałem. W budżecie sołectwa na rok 2007 wystąpiłem o środki na wykonanie tablic informacyjnych w lapidarium i wydrukowanie parostronicowej reklamówki. Ale czy to będzie wykonane?

Z poważaniem

¹ Pominięto – red.